MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 16. WARSZAWA, 3 KWIETNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

PEŁNOMOCNICTWA

USTAWA o upoważnieniu Prezydenta Rzeczypospolitej do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, uchwalona dnia 14-go marca b. r. w Sejmie, a dnia 17-go b. r. w Senacie, oraz ogłoszona dnia 22-go marca b. r. w Dz. Ust. Nr. 22, ma ogromne znaczenie dla dalszego biegu zdarzeń w kraju pod rządami pomajowemi.

Już sam jej zakres jest bezprzykładnie rozległy. Przedewszystkiem bowiem (art. 1 lit. a) mogą rozporządzenia zastępować ustawy w sprawach gospodarczych, finansowych, stanu prawnego i wymiaru sprawiedliwości, czyli poprostu wszystkich, z nielicznemi wskazanemi wyłączeniami, bo cóż się nie zmieści w tych szerokich określeniach. Ponadto (art. 1 lit. b.) mogą rozporządzenia zamiast ustaw załatwiać wszystko w całej administracji publicznej, nietylko państwowej zatem, ale także samorządowej. Jest to niemal całkowite oddanie ustawodawstwa w ręce władzy wykonawczej.

Również czas trwania tych pełnomocnictw godzien jest uwagi. Dla spraw administracji publicznej odrazu wyznaczono trzy lata zgóry, bo do 31-go grudnia 1934. Dla spraw gospodarczych i prawnych wyznaczono czas do najbliższej sesji zwyczajnej Sejmu, czyli do października b. r., o ile nie będzie jakichś hocków-klocków opóźniających. Ale, skoro zrobiono to między obecną sesją zwyczajną i następną, toruje się już drogę do powtórzenia tego samego między dalszemi sesjami. Znaczy to, że najbliższe lata stoją pod znakiem pełnomocnictw i rządzenia rozporządzeniami zamiast ustawami.

Jak to wygląda z konstytucyjnego stanowiska?

Któżby nie odczuwał, że w samem już tem pytaniu tkwi pewna naiwność i jakby nalot przeżytkowy w umyśle? Biedna nasza Konstytucja nie takie już rzeczy widywała. Byłoby raczej rzeczą dziwną, gdyby nagle stało się coś, coby było zgodne z brzmieniem i z duchem Konstytucji.

Konstytucja przewiduje, wedle uzupełnienia z 2-go sierpnia 1926 r. po przewrocie majowym, w art. 44-tym ust. 6-tym:

— „Ustawa może upoważnić Prezydenta Rzeczypospolitej do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, w czasie i w zakresie, przez tę ustawę wskazanych, jednakże z wyjątkiem zmiany Konstytucji“.

Zaznaczona tu jest przedewszystkiem wyjątkowość tego sposobu działania. W innych wypadkach bowiem Konstytucja mówi: Prezydent podpisuje, wydaje, mianuje i t. p. Tu zaś powiedziano odmiennie: ustawa może upoważnić. To, co jest wyjątkowe, nie może przeważać w rzeczywistości. Otóż po przewrocie majowym były naprzód rozporządzenia zamiast ustaw od sierpnia 1926 do marca 1928 przez $2^1/_2$ lat, potem 4 lata przerwy, teraz znowu od marca 1932 do grudnia 1934 rozporządzenia przez 3 lata, a więc razem $5^1/_2$ lat rozporządzeń, wobec 4 lat bez rozporządzeń, co już przestaje być wyjątkiem, a jest trybem przeważającym.

Konstytucja nakazuje również wskazać zakres pełnomocnictw. Znaczy to, że wogóle powinny one mieć zakres ścisły, a nie bezkres, jak w obecnej ustawie, gdzie wszystko niemal oddano rozporządzeniom. Znaczy to również, że ten zakres powinien być wskazany, a nie zbyty ogólnikami takiemi, jak sprawy gospodarcze i finansowe, stan prawny, wymiar sprawiedliwości. Przepisy Konstytucji nie powinny być naciągane i rozciągane lecz poprostu rzetelnie przestrzegane.

Najważniejsze jednak jest postanowienie końcowe art. 44-go Konstytucji:

— „Rozporządzenia te tracą moc obowiązującą, jeżeli nie zostaną złożone Sejmowi w ciągu dni 14 po najbliższem posiedzeniu Sejmu, lub jeżeli po złożeniu ich Sejmowi zostaną przez Sejm uchylone“.

Postanowienie to przypomina coś z innego świata, niż ten, w którym żyjemy. Oczywiście, upoważnienia takie dla Prezydenta Rzeczypospolitej

i Rządu są możliwe i zrozumiałe, jeśli władza ustawodawcza może je w każdej chwili uchylić. Otóż Konstycja nasza, jak wszystkie inne, przewiduje Sejm i Senat, wybierane wyłącznie przez wyborców, a nie tworzone w wyborach przez rząd w sposób ani konstytucyjnie ani prawnie nie przewidziany. U nas obecnie myśl o uchyleniu przez większość sejmową i senacką rozporządzeń, wydanych przez rząd, tylko śmiech może wywołać...

W tych warunkach mówić o konstytucyjności lub niekonstytucyjności pełnomomnictw byłoby wogóle traceniem czasu, tembardziej, że także rzeczywiste okoliczności, w jakich one się zjawiają, są już same przez się dostatecznie pouczające.

Czy są jakieś korzyści załatwiania spraw rozporządzeniami zamiast ustawami?

Ze względu na samą dokładność opracowania ustaw korzyści takich oczekiwać nie można.

Wchodzi tu w rachubę zestawienie czynnika urzędniczego, który będzie układał rozporządzenia, z czynnikiem poselskim i senatorskim, który ma wpływ na powstawanie ustaw.

Stokrotnie mówiono u nas, a wcale nie bez słuszności, że w ciałach ustawodawczych naszych poziom umiejętności ustawodawczej nie jest wysoki. Istotnie już samo doświadczenie z lat poprzednich, dające przykłady znacznych błędów w opracowywaniu ustaw, albo rozstrzygnięć większością głosów w niedobrym kierunku, uprawnia ocenę niezawsze dodatnią. Co więcej, także skład kolejnych ciał ustawodawczych nie był zadowalający, jako zespół sił, nadających się do pracy ustawodawczej, a obecne zawalenie Sejmu i Senatu wybrańcami z listy BB., w których wyborze czynnik znawstwa spraw i zdolności jeszcze o wiele mniejsze miał znaczenie, niż w zwykłych wyborach, raczej pogarsza, niż poprawia ten stan rzeczy. Jednem słowem, jako warsztat parlamentarny pracy ustawodawczej, mamy poważne braki i pozostajemy w tyle nie za wszystkiemi, ale w każdym razie za wieloma parlamentami.

Jeśli jednak nasze ciało ustawodawcze niezawsze dotrzymuje kroku innym, czy równocześnie korzystniej wygląda stosunek naszego ciała urzędniczego do innych? Byłoby to dziwne i nieoczekiwane. Niewola mniej bodaj ciężyła u nas na możności wyrobienia się sił parlamentarnych, niż na możności wytworzenia się ciała urzędniczego, gdyż w przeważnej części obszaru narodowego byliśmy trzymani zdala od urzędów. Powstanie sprawnego zespołu i dokładnie pracującego warsztatu urzędniczego, jak we Francji, Niemczech lub z innem zabarwieniem w Anglji, jest dziełem bardzo długiego czasu. Jest to też naogół znaczenie trudniejsze, niż dociągnięcie ciała parlamentarnego do przeciętnego w świecie poziomu. Dlatego też wszelkie próby twierdzenia, jakoby nasze ciało urzędnicze było względnie, tj. w porównaniu z innemi państwami, doskonalsze, niż nasze ciało ustawodawcze, byłyby pozbawione zmysłu rzeczywistości. Wyrabianie się warsztatu urzędniczego było po odzyskaniu niepodległości na niezłej drodze. Ale przewrót majowy zaburzył znowu ten rozwój przez swe zupełnie niesamowite spustoszenia na tym gruncie. Przygotowanie z wykształcenia i z doświadczenia poszło wogóle „w odstawkę“, a nastał okres ministrów, wojewodów, naczelników i wyższych urzędników we wszystkich służbach, tak nieoczekiwanie mianowanych, że dzisiaj przestano się już czemukolwiek dziwić w tej dziedzinie. W tym stanie rzeczy na kpiny wygląda twierdzenie, jakoby właśnie obecny warsztat urzędniczy dawał szczególne rękojmie dobrej pracy w układaniu ustaw. Do braku przygotowania i wiadomości, których wymaga się od pp. jenerałów, pułkowników i kapitanów, zajmujących się wszystkiem innem, jak tem, do czego się zaprawiali, dołącza się jeszcze górująca obecnie w urzędach skłonność do wiary, że ustawy, w których nie będzie treści, a będzie tylko szerokie pole dla dowolności, są najlepsze.

Gdyby przeto sprawa tak się tylko przedstawiała, że trzeba wybierać między rozporządzeniami, opracowywanemi przez urzędników, a ustawami, opracowywanemi przez ciała ustawodawcze, nie byłoby zgoła powodu do wybrania raczej tamtych, niż tych.

Ale sprawa wcale nie tak się przedstawia. Rozporządzenia są opracowywane od początku do końca rzeczywiście tylko przez urzędników. Natomiast w opracowaniu ustaw bierze udział przedewszystkiem świat rządowo-urzędniczy, który wnosi je do laski marszałkowskiej jako przedłożenia rządowe, a następnie obradują nad niemi ciała ustawodawcze, znowu z ciągłym współudziałem rządowym. Do wyboru ma się zatem z jednej strony rozporządzenia, wydawane przez sam czynnik urzędniczo-rządowy, a z drugiej strony ustawy, opracowane przez oba czynniki, tj. urzędniczy i ustawodawczy.

Zresztą, nie w tem tylko rzecz, kto ustawy sporządza, ale także i to dużo znaczy, gdzie one powstają. Rozporządzenia z mocą ustawy przygotowywane są w skrytości urzędów, a ukazują się w dzienniku urzędowym w chwili, gdy wchodzą w życie. Ustawy rodzą się w świetle wielostronnej oceny. Jest to sposób dużo pewniejszy.

Najwymowniejsze jest doświadczenie. Przykładów jest bez liku, ale wystarczy sięgnąć po ten, który jest właśnie pod ręką. Ustawa o pełnomocnictwach ukazała się w Sejmie i Senacie jako przedłożenie rządowe, które byłoby odrazu stało się rozporządzeniem z mocą ustawy, gdyby wystarczało rozporządzenie zamiast ustawy. Otóż w tem przedłożeniu rządowem wprowadzono odrazu, gdy tylko znalazło się ono w komisji sejmowej, takie zmiany, jak usunięcie z zakresu pełnomocnictw świadczeń społecznych, podwyższania opłat, zaciągania pożyczek, zmiany ustawy o złotym i statutu Banku Polskiego. Rząd uznał słuszność wszystkich tych poprawek. Jeżeli nawet w takiem przedłożeniu rządowem okazało się w zwykłym trybie ustawodawczym, że potrzebne są tak daleko idące zmiany, przypuszczenie, że rozporządzenia rządowe, nie idące do ciał ustawodawczych, będą odrazu doskonałe, byłoby lekkomyślne.

A gdzież nagła potrzeba tego ustawodawstwa w drodze rozporządzeń?

Wydawałoby się, że, skoro rząd pragnie mieć możność działania swobodnego, to wie też, co chce tak żwawo działać.

A tymczasem, rząd nie umie powiedzieć, ku czemu zmierza. Powiedziałby ktoś, że nie mówi, ale wie. Lecz są dowody, że nie wie. Wszakże rząd, jeszcze przed zwróceniem się o pełnomoc-

nictwa wniósł obszerne przedłożenie w sprawie zmiany świadczeń społecznych, poczem w przedłożeniu o pełnomocnictwach zastrzegł sobie możność załatwienia tej sprawy rozporządzeniami, a wreszcie wyrzekł się jednak tej możności. Znaczy to, że w podstawowej dla wytwórczości sprawie świadczeń społecznych rząd nie ma wytkniętego kierunku, a na najbliższe przynajmniej pół roku zawiesza ją na kołku. To jedno wskazuje, że rząd nie widzi jasno drogi wyjścia z obecnych trudności, lecz drepce w miejscu poomacku.

I tu jest sedno rzeczy. Żąda się pełnomocnictw w ciemności i pustce. Jest to dogodne, lecz niezmiernie ubożuchne.

Skutki jednak takiego sposobu działania muszą być bardzo niepomyślne dla państwa. Jedynem bowiem następstwem takich nieokreślonych pełnomocnictw musi być wzmożenie niepewności we wszystkich dziedzinach. Już w samej dziedzinie administracji publicznej niepewność jutra ogarnia wszystkich pracowników państwowych, samorządowych i instytucyj publicznych. Jeszcze groźniejsza jest niepewność w dziedzinie gospodarczo-pieniężnej, która nie znosi niepewności. Zdawałoby się, że stwarzanie pewności powinno być jednym z głównych sposobów leczenia ciężkiego przesilenia gospodarczego i w bycie codziennym ludzi. Ale zaostrzania niepewności w takim stanie rzeczy nikt zrozumieć nie zdoła.

Pełnomocnictwa nigdy jeszcze i nigdzie nie zastąpiły i u nas obecnie nie zastąpią ani myśli, ani wiedzy, ani przygotowania, ani umiejętności działania. Mamy liczne przykłady zagranicą, że tam rządom, które nie dają sobie rady, nie udzielają pełnomocnictw, lecz dają pożegnanie. W lipcu r. 1926 chciał we Francji rząd Briand — Caillaux uzyskać pełnomocnictwa, ale Izba mu ich odmówiła, obalając go zarazem, a wówczas przyszedł do steru Poincaré, który bez pełnomocnictw wszystko uratował i świetnie Francję postawił. Ten sposób bywa znacznie pewniejszy, niż stwarzające jeszcze większą niepewność pełnomocnictwa.

STANISŁAW STROŃSKI

KRAKÓW PRZED TRZYDZIESTU LATY

(PIĘKNODUCHY NIE Z KNAJPY)

WSPOMINAŁEM już kiedyś[1]), że na przełomie stuleci zmienił się charakter życia towarzyskiego w Krakowie, zdemokratyzował znacznie, a ono samo przeniosło się z salonów we właściwem tego słowa znaczeniu do pracowni i konwentyklów literackich, a nawet knajp. Przełom ten oczywiście uwydatnił się później, punkt jednakowoż jego zaczepienia usytuowałbym około r. 1896. Wówczas to—pamiętam dobrze, bywszy jej bezpośrednim sąsiadem — rozwija się i kwitnie słynna *taverne*'a Turlińskiego „pod Pawiem" przy ulicy Szpitalnej (świeżo opisana przez Boy'a), gdzie literaci i artyści, z Przybyszewskim na czele, topią troski swoje i zmartwienia lub też szukają natchnienia w czarnej kawie i wszelakim alkoholu.

Życie to nowe—w przeciwieństwie do starego, które operowało było pierwiastkami czysto literackiemi (znamieniem epoki dla karnawałującego nawet Krakowa były modne i *courues* prelekcje profesora Tarnowskiego, muza Matejki była nierozłączną niemal z historjografją, a Klaczko, wcześniej coprawda, wykluczał był nawet potencjonalną możliwość rozwinięcia się plastycznej sztuki polskiej), życie to—powtarzam—oplotło się w znacznej mierze wokoło powstającej młodej sztuki, której patronował Witkiewicz, która przybyła do Polski w bagażach artystów, co kształcili się byli w Paryżu (Gierymski, Chełmoński) i obecnie, we własnej osobie, pojawiać się zaczęli na bruku krakowskim. Dotychczas bowiem plastyka miejscowa stąpała niejako na koturnach, dostrajając się w ten sposób potrochę do „biczownictwa" czy „żałobnictwa" panującej tu szkoły krakowskiej: takim pamiętam Matejkę, zawieszonego prawie, niby nowoczesny Michał-Anioł, pod stropami świątyń krakowskich: Marjackiej czy wawelskiej, a nawet pogodniejszy i bardziej gawędziarski Juljusz Kossak też oderwać się nie mógł od historji. Z malarzy późniejszej doby, jedyny Malczewski — mimo czy w liczbie innych dziwactw, które płynęły z chorobliwego jego usposobienia—pozostał wierny poezji grobów, będąc sam także z ducha poetą, Wyspiański przynajmniej z nią walczyć się starał. Ale inni, przybysze z Zachodu, przynosili ze sobą dreszcz już zupełnie nowy, kult czysty, wyprany z aljażów intelektualnych, sztuki dla sztuki, a nieraz i różny *habitus* życia, zaprawiony w kabaretach paryskich, z całą skalą przeżyć i wzruszeń od absyntu do balów na Montmartre, jakżeż odmienny od cichego i bogobojnego bytowania pod Akropolą wawelską. Zjawił się Fałat, przymuszony do zerwania ze splendorami dworskiemi w Berlinie występem krzyżackim swego dotychczasowego mecenasa (Wilhelma II), przybywali stopniowo z nad Sekwany: portrecista Axentowicz, pejzażysta Stanisławski, wszechstronny grafik Wyczółkowski, rzeźbiarz Laszczka i w. in., angażujący się do matejkowskiej „Akademji sztuk pięknych".

Dla nowego i bujnego w sobie życia tego znaleźć się musiały ramy, i to nietylko w autonomicznym zakresie knajpy „pod Pawiem", gdzie artyści i literaci żyli między sobą, ale inne także, w których obrębie danem by im było *épater le bourgeois*, a z czasem do swojej sztuki go oswajać. Takie było — mam wrażenie — pedagogiczne i pośredniczące zadanie salonu tego szlachcica polskiego, jakim był z pochodzenia pan Ludwik Michałowski.

Coprawda i stary Kraków miał w sobie nieco *des Maecenatentums*, choć grubo jeszcze podszytego psychiką szlachecką. Wszak z umiłowania dla sztuki drapał się stary Popiel w archaicznym cylindrze swoim i halsztuku na niezliczone rusztowania i zakamarki, wszak Czartoryscy stworzyli byli azylum kulturalne na Woli, w którem pokutował jeszcze duch Szopena, wszak Zygmunt Pusłowski, a z czasem i Emeryk Hutten-Czapski nagromadzili w Krakowie właśnie bezcenne kolekcje, owe *monumenta patriae naufragio erepta*. Wszak-

[1]) Patrz zeszłoroczną „Myśl Narodową" z 30-go sierpnia i 20-go września.

że syn szlachecki, Stanisław Koźmian[1]), poważny szmat życia poświęcił bez reszty kulisom i widowni, podczas gdy inne dziecko obywatelskie z pod Krakowa, Władysław Żeleński, komponować będzie opery, europejski zaś znawca Renesansu, równocześnie teoretyk konserwatyzmu polskiego, Juljna Klaczko, w Krakowie przepędzi starość i życia tutaj dokona.

Ale w tym czasie wytwarza się dopiero tak charakterystyczny dla późniejszego Krakowa, a wówczas gorszący jeszcze współczesnych typ „pięknoducha", *Schöngeist*'a, żyjącego sztuką dla sztuki, typ wyśmiewany później przez Boy'a, kiedy mówił, że każdy krakowianin — „goły i inteligentny". Inny był bowiem zupełnie przed tą epoką szlak ludzi, zajmujących się teoretycznie czy kolekcjonersko sztuką, a zgoła odmienny ten, który się rozwinie na kulturze „*Schöngeisterei*".

Do pierwszego — choć całkowicie ze sobą niewspółmierni — należeli Stanisław Tomkowicz i Edward Raczyński. Tomkowicz, dziecko Krakowa czy conajmniej podkrakowskie, po kądzieli wnuk kasztelana-poety Franciszka Wężyka, fundatora polskiej Akademji Umiejętności, człowiek o dużych zamiłowaniach estetycznych, którym dał był wyraz, zarówno kiedy odtwarzał za młodu, jeden z pierwszych, na podstawie użyczonych sobie rękopisów wielkiego zbioru popielowskiego, kulturalny wiek Stanisława-Augusta, jak również rozległej i precyzyjnej kulturze muzycznej, która go zbliżała np. do Władysława Żeleńskiego, — zostanie jednak przedewszyskiem w historji artystycznej Krakowa takim, jakim go uwiecznił Malczewski na portrecie w Muzeum Narodowem, na tle starodawnych baszt i murów, pozostanie jako konserwator z ducha — zmodernizowanego — Pawła Popiela, jako znawca każdego zakątku Krakowa i niejednego klejnotu architektonicznego Polski, jako restaurator i monograf Wawelu. Obdarzony językiem ciętym, prawdziwie wężykowskim, weredyk, gotów do urażenia mocnej chociażby i wpływowej jednostki, skoro mu chodziło o sprawę, w dosyć oportunistycznym i zbizantynizowanym na smaku prowincjonalnym Krakowie reprezentował Tomkowicz zdrowy i dodatni typ szczerej kultury szlacheckiej.

Reprezentantem kultury magnackiej był za to Edward Raczyński. Z wielkopańskiej pochodzący rodziny, wychowaniem zbliżony do mojej własnej, skoro w zastępstwie marzycielsko a młodo zmarłego ojca i nie egzystującej legalnie matki, opiekę nad nim roztaczał moj dziadek, tak już w kolebce przyniósł ze sobą na świat Raczyński pewne romantyczne znamiona, które przyszło mu w dalszem rozwinąć życiu, a które były zresztą właściwością tej artystycznie usposobionej rodziny, gdzie przeróżne wydarzały się i tak niezwykłe przygody, jak samobójstwo np. pierwszego mecenasa rodu, starszego pana Edwarda. Dzieckiem, z Wrocławia czy Ostrowa, z pod niezbyt czujnej opieki swego pełnego „ataraksji" guwernera, pana, później ojca, Stefana Pawlickiego, uciekł pan Edward z jednym towarzyszem z pensjonatu, na którym się chował, z zamiarem przedostania się do obozu kozaków tureckich Sadyka-Paszy. Gdy się ta wyprawa nie udała, młody Raczyński — w kilka lat później — zaciągnął się do wojska papieskiego i, ciężko ranny w bitwie pod Mentaną, dwadzieścia cztery godziny przeleżał na polu bitwy, zanim odnaleziony został i przewieziony do Rzymu przez krewną swoją, księżnę Odeschalch.

Podczas wojny francusko-niemieckiej 1870/1 r., sympatja do Francji pociągnęła go, poddanego wówczas niemieckiego, znowu do obozu, zdaje się pod Metz czy też gdzieindziej, choć, o ile mi wiadomo, nie zdołał przybyć na czas, ażeby wziąć udział w walce. *Homme à femmes*, godny najlepszych tradycyj Drugiego Cesarstwa, żonaty był dwukrotnie, pierwszy raz z córką Zygmunta Krasińskiego, Marylą, drugi — z Różą z Potockich, osobą znacznej wytrawności politycznej. Nadwątlone zdrowie — mimo, że do późnej starości w nad wyraz krzepkiej utrzymywał się kondycji — skłaniało go w latach dojrzałych do dalekich podróży w ciepłym klimacie: i tak w towarzystwie mojego stryja Zdzisława, który stał się kronikarzem tej wyprawy, objechał Raczyński Amerykę południową, kiedyindziej dotarł na Wschód Daleki, nie mówiąc o licznych sezonach, spędzanych we Włoszech czy Paryżu. Z wojażów tych i wielkiego świata, w którym bywał, wyniósł ogładę towarzyską niezwykłą, niepowszednio władał językami, ale rewelacją wprost stał się, dla cudzoziemców nawet, wyrobiony na tle darów przyrodzonych i ciągłego kontaktu z europejskiemi środowiskami sztuki zmysł jego rozpoznawczy w stosunku do dojrzewających dopiero talentów malarskich, których w „Salonie" paryskim przeczuł tak i zdeterminował cały szereg, co dało mu sposobność wzbogacenia swojej, pierwszej w Polsce co do wartości, nowoczesnej galerji rogalińskiej pokaźną liczbą arcydzieł. Od dziecka stykałam się z tą postacią o oryginalnym i pańskim wyglądzie, tem łatwiej i częściej, że uważał się on prawie za brata z wyboru i wychowania mojego ojca, stryjów i ciotek — i słuchałem jego na bogatem doświadczeniu życiowem opartych opowiadań, które zalecały się, ale zarazem grzeszyły też czasem, zbytnią dokładnością szczegółów.

Do drugiego, wzmiankowanego przezemnie wyżej szlaku „*Schöngeist*'ów", należał Konstanty-Marjan (Kocio) Górski. Przez żonę, z domu Chłapowską, szwagier mojego ojca, i on, w późniejszych zwłaszcza latach swojego w Krakowie pobytu, i już po powrocie z Paryża, gdzie przez lat parę sprawował był funkcje delegata Akademji Umiejętności, częstym w domach moich rodzinnych bywał gościem. Człowiek nietylko wszechstronnej kultury literackiej i artystycznej, cytujący z pamięci stronice całe Horacego, Goethego i Heinego, nietylko wyszkolonego smaku krytycznego w stosunku do dzieł plastycznych, nietylko zręczny, głęboko czujący, a czasem i głęboko wzruszający poeta — dość wymienić transkrypcje z Horacego oraz wiersze na pogrzeb Mickiewicza i na inaugurację teatru w Krakowie — Górski był w dodatku dobrym nawskroś i subtelnego serca człowiekiem. Zawodów życiowych miał sporo: jeden z nich stoi mi żywo przed oczyma, kiedy to, jeżeli się nie mylę w roku 1901, ubiegał się wraz z Feliksem Koperą o dyrekcję Muzeum Narodowego po śmierci Łuszczkiewicza. Współzawodniczyły ze sobą w tych dwojgu ludziach dwa sprzeczne wprost ze sobą typy polskiej i krakowskiej kultury: jeden z nich, Górski, wyrafinowany spadkobierca naszej szlacheckiej spuścizny cywilizacyjnej, ale obarczony także przeżytkami i wątpliwemi dobrodziejstwami jej inwentarza:

---

[1]) Nie mówiąc o Zygmuncie Cieszkowskim, improwizowanym i zresztą niefortunnym *impressario* oper polskich.

marnem zdrowiem, zbyt skrupulatną, a przez to zbyt powolną, cyzelatorską i destylującą metodą tworzenia, wewnętrzną wreszcie melancholją, drugi, Kopera, syn ludu, rzeźki i energiczny organizator, który musiał zwyciężyć w tym sporze. W mało znaczącej napozór kontrowersji streszcza się, zdaniem mojem, cały proces przetwarzania się kultury krakowskiej w owych latach, t. j. stopniowe i systematyczne branie góry żywiołów bardziej demokratycznych, niewątpliwie sprawnych i uzdolnionych, ale co do skali swojej i trwałej wartości, — oczywiście nie mam tu na myśli prawdziwych zasług kulturalnych dyrektora Kopery — nazbyt często, pod względem zwłaszcza rozległości horyzontów, pośledniejszych od swoich poprzedników.

Salon pana Ludwika Michałowskiego miał to do siebie, że łączył i jednoczył żywioły nieraz ze sobą sprzeczne, których osmoza i transfuzja w Krakowie na wybitne natrafiały trudności. Nie jestem w stanie z pamięci dokładnie ustalić[1]) jakie się właśnie przez salon ten przesunęły osobistości, ale mogę naogół skonstatować, że pod wpływem takich właśnie czynników, „neutralnych“ jak pan Ludwik, czyli pod wpływem niwelującego różnice ducha czasu, następowało zbliżenie pomiędzy owemi demokratycznemi bardziej elementami, jakie się kupiły dookoła „Reformy“, a temi, tradycjonalistycznie jeszcze konserwatywnemi, jakie się grupowały wtedy wokoło „Czasu“. Do „Reformistów“ należał przedewszystkiem Asnyk, tak bardzo perhoreskowany przez Tarnowskiego, należał Mieczysław Pawlikowski, ojciec Tadeusza, pierwszego dyrektora odrodzonego w nowym gmachu teatru krakowskiego, zbliżała się do nich zapewne szlachecka postać Sewera-Maciejowskiego, który w dobie „Życia“ i całej Przybyszewskiady otworzy dom swój na oścież zgłodniałej a zwłaszcza spragnionej rzeszy literatów i artystów. Wyrazem osobliwszym demokracji krakowskiej był wreszcie komedjopisarz Bałucki, zaprawiający wesołe swoje farsy głęboko nieraz ukrytą a gorzką ironją zabiedzonego krakowskiego inteligenta, sarkazmem życia, który go doprowadził wkońcu do samobójstwa.

Na pograniczu dwóch światów i dwóch epok stał Sienkiewicz, z chudego literata warszawskiego wyrosły, ale siłą talentu wyniesiony na wyżyny społeczne i w tym właśnie czasie poślubiający w Krakowie niedostosowaną do siebie córkę zamożnego i zapewne nie wolnego od przesądów i snobizmów podolskiego domu szlacheckiego.

W każdym razie, w pierwszym okresie mojego dzieciństwa, demokrację czyli „tromtradrację“ od konserwatyzmu czyli „stańczykierji“ niezasypana jeszcze oddzielała przepaść. Zwolennicy pana Pawła Popiela i pana Artura Potockiego wyklinali i odżegnywali się od przywódców obozu przeciwnego. Tamtego zapatrywania dochodziły mnie chyba okólnemi szlaki, przez zabłąkanego z emigracji paryskiej guwernera, którego psychologja polityczna obracała się w zakresie wspomnień z 1863 r., apologji Buszczyńskiego i kazań księdza-Pijara Chromeckiego. Koźmian zwłaszcza — za swoją „Rzecz o roku 1863“ — był prawdziwą *bête noire* tego obozu.

Muszę się przyznać, iż moje sympatje dziecinne, jako że się prawie na „Czasie“ czytać nauczyłem i żyłem pod suggestją tego, co mówił mój ojciec, były w pełnej mierze po stronie ówczesnych „Stańczyków“. Przypominam sobie chwilę, kiedy to do wiedeńskiej Rady Państwa kandydował z obozu konserwatywnego mój ojciec chrzestny Tomkowicz, a obóz demokratyczny wysunął był przeciwko niemu późniejszego z czasem konserwatystę, Augusta Sokołowskiego. Walka piórem i na wiecach była zajadła; o ile pamiętam, czynnie wmieszany był w nią nawet drugi mój ojciec chrzestny, stary Popiel i musiał na jednem ze zgromadzeń rejterować z trybuny. Dość, że moja wyobraźnia dziecinna tak bardzo rozigrana została perypetjami tej walki, iż, pod wrażeniem tłumów, zbierających się wieczorem w dniu wyboru na Rynku, aby powitać i uczcić zwycięstwo kandydata demokratycznego, ułożyłem poemat okolicznościowy, w którym, po nakreśleniu epizodów elekcyjnych, konkludowałem z przejęciem:

Tomkowicz smutno pochylił czoło,
Sokołowskiemu za to wesoło.

Drugim momentem, który silnie oddziałał na moją fantazję dziecinną, były gościnne występy „cioci“ Heleny Modrzejewskiej. Teatru Koźmianowskiego już nie zaznałem i pamiętam go tylko z tradycji, za to byłem poniekąd przy urodzeniu się sezonu Pawlikowskiego, bo na przedstawieniu inauguracyjnem nowego teatru (w listopadzie 1893 r.). Tam to w oczach moich wschodziły na scenie wszystkie te gwiazdy pierwszego i drugiego blasku, z których nieliczne tylko jeszcze świecą dzisiaj, głównie na warszawskich scenach. Tu i w tym czasie wynurzali się nieznani, lub mało jeszcze publiczności znani: Kamiński, Solski, zmarli przedwcześnie Mielewski, Roman, Siemaszko, Popławski, Przybyłowicz, z dawniejszych — Lubicz, Sobiesław, Śliwicki; z kobiet zaś — Trapszówna, Morska, Pomian-Solska, Siemiaszkowa, Siennicka i t. d. Z dawnej krakowskiej sceny pamiętam także jeszcze Hoffmanową.

Repertuar, stworzony przez Pawlikowskiego, odpowiadał ze wszech miar wartości zaangażowanych przez niego sił aktorskich. Prócz rodzimej sztuki dramatycznej, kultywowanej również za Koźmiana, prócz Fredry i Słowackiego, dbał nowy dyrektor w wyższym, niż działo się to poprzednio stopniu, a wielki repertuar klasyczny oraz zagraniczny dramat nowoczesny. Z takich nowych kreacyj teatralnych pamiętam zwłaszcza świetne wystawienie niektórych sztuk Szekspira, jak „Poskromienia złośnicy“ z Leszczyńską w roli tytułowej, a przedewszystkiem niezrównanego „Wieczoru trzech króli“ z Solskim jako Chudogębą, Kamińskim jako Malvogliem, Romanem jako Czkawką, Modrzejewską jako Violą, Popławskim, Przybyłowiczem, Siemaszką i t. d. Pamiętam także pierwszy z wieczorów „nastrojowych“ stosującego się do nowych prądów i dreszczów teatru, „*Hannele*“ Hauptmanna, wystawioną przed widownią, obwieszoną kirami żałobnemi (za jednej z następnych dyrekcyj wystawić miano z podobnemi rekwizytami „Wnętrze“ Maeterlincka). Nie byłem natomiast—*et pour cause*— dopuszczony do oglądania budzącej skandal w pobożnym jeszcze Krakowie „Lizystraty“, w której główną atrakcję, obok aluzyj lokalnych, wstawionych do tekstu przez Koźmiana, stanowił bardzo podobno gruntowny jak na owe czasy dekoltaż nadobnego żeńskiego personelu teatralnego. Dodam w końcu, że teatr tworzył wówczas w Krakowie— odmiennie od dzisiejszych nieco zamerykanizowanych warunków — integralny i znaczący bardzo

---

[1]) Michałowski umarł, o ile dobrze pamiętam, w r. 1899, kiedy byłem jeszcze w gimnazjum.

czynnik kulturalnego życia miasta i, że dla mnie w szczególności, jako młodego chłopca, podobnie jak dla moich kolegów — prawda, że przez lat kilka uczył mnie i dozorował recenzent teatralny „Przeglądu Polskiego“ — wszystkie owe ewenementa sceniczne z doby Pawlikowskiego i późniejszych, o ile im się tylko przypatrywać mogłem, nietylko inicjowały mnie bezpośredniej niż lektura do literackich rozkoszy i arcydzieł, ale stanowiły pewnego rodzaju idealny korelatyw życiowy — aż do „Wesela“, które się stać miało najsilniejszem scenicznem młodości mojej wrażeniem.

Modrzejewską, której piękność w owym czasie szarpnięta już była zębem czasu, a której aparycja zewnętrzna uderzała najsilniej instynktownem przeniesieniem form i afektacyj teatralnych do życia codziennego, oglądałem — poza genjalną jej kreacją w „Lady Macbeth“ — parokrotnie jeszcze w salonach mojego ojca, babek i ciotek jako żonę bliskiego dosyć kuzyna mojej rodziny, niezwykle gadatliwego „cygana“, Karola Chłapowskiego.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

DWA OBRAZY LITERATURY ANGIELSKIEJ

(KASPROWICZ — DYBOSKI — TARNAWSKI)

TO, CO NIEGDYŚ mówił o sobie Mickiewicz, że po okresach „gallomanji“ i „germanomanji“ nawiedzony został „brytanomanją“, mogłaby o sobie powtórzyć literatura polska ostatnich lat pięćdziesięciu. W epoce wielkich dzieł Sienkiewicza mieliśmy żywy kontakt z literaturą francuską; przybyszewszczyzna przyniosła modę na literaturę niemiecką (i na pokrewną jej z wielu względów skandynawską); obecnie zaś żadna literatura nie cieszy się u nas taką wziętością, jak literatura angielska, wespół z amerykańską określana niekiedy zabawną nieco nazwą „literatury anglosaskiej“ [1]) Stwierdzono wszak statystycznie, że w dziale wydawnictw książkowych przekłady z literatury angielskiej zajmują pod względem ilościowym jedno z miejsc naczelnych. Z drugiej strony stwierdzić też nie trudno, że anglistyka zajęła i w nauce polskiej jedno z miejsc naczelnych, nietylko ze względów ilościowych, ale i jakościowych.

I

Zarówno przekłady, jak i naukowa anglistyka polska pod dobremi zaczęły się niegdyś auspicjami. Obu dziedzinom patronowali dwaj wybitni pisarze, uzdolnieni zarówno w kierunku naukowym jak poetyckim: Jan Kasprowicz i Edward Porębowicz. Żaden z nich nie był „zawodowym“ anglistą; obaj zgłębiali literaturę angielską przygodnie, z zamiłowania, nie z obowiązku; tak samo przecie zajmowali się, jako znawcy i tłumacze, wieloma innemi literaturami dawniejszemi i nowszemi, ujawniając na tem polu zdumiewającą wszechstronność, jakiej — poza jednym Langem — nikt w literaturze naszej nie osiągnął.

Późniejszy kolega Porębowicza na katedrze uniwersyteckiej, przyszły profesor literatury powszechnej, Jan Kasprowicz już w młodym wieku zajmował się literaturą angielską. Spory zapas wiadomości o niej wyniósł ze studjów uniwersyteckich; dobrze jednak że na tych wiadomościach nie poprzestał, a raczej, że się niemi nie zraził i nie zniechęcił. Albowiem w owym czasie profesorowie uniwersytetów niemieckich zwykli byli ze szczególną pasją wałkować przez całe semestry to, co jest najmniej zajmujące w całej literaturze angielskiej, a mianowicie różne nudne i zapleśniałe „Beowulfy“, „Caedmony“ i inne utwory epoki anglosaskiej (w dosłownem tego słowa znaczeniu), poczem już nawet czasu nie mieli na wspomnienie choćby nazwisk Spensera, Szekspira, Miltona, Swifta, Coleridge'a, Byrona, Shelleya... Śmiał się potem nieraz z tej metody Kasprowicz, mówiąc przyjaciołom, że na uniwersytecie uczono go nie angielskiego, ale *„angelsächsisch“*. Naprzekór przysłowiu o młodym Janku i dorosłym Janie, douczył się później sam tego wszystkiego, czego go w młodości nie nauczono, ale skutki owej niemieckiej metody długo jeszcze dawały się we znaki. W mówieniu po angielsku biegłości zbyt wielkiej nie miał, czego się zresztą wcale nie wstydził; wszak w dowcipnym liście poetyckim do Ludwika Bernackiego rymował niefrasobliwie „ponury“ i „kardynał de Bury“, żartując przytem:

> tak pisze się, a jak się wymawia, to przecie
> drobnostka na tym pełnym większych przemian świecie!

Bez cienia jakiejkolwiek urazy czy megalomanji przyznawał się wielki poeta i do omyłek, jakie tu i owdzie popełniał w swych przekładach, i chętnie oddawał je do skorygowania wytrawniejszym lingwistom (np. A. Gawrońskiemu). Wiadomo, że niejeden z tych przekładów miewał w drugiem i trzeciem wydaniu coraz to inne brzmienie, lepsze zarówno w literackim, jak i filologicznym sensie. Ta coraz to udoskonalająca się praca anglisty samouka poszczycić się może plonem wprost imponującym, na którego objęcie całkowite potrzebaby wielu tomów. Prócz liczby imponuje i rozległość horyzontu. „Beowulfom“ wprawdzie rychło dał spokój Kasprowicz, ale od Chaucera aż do Yeatsa — więc na obszarze pięciu i pół wieków — nie ominął bodaj żadnego z wybitniejszych poetów angielskich. Niektórych tłumaczył intensywniej; dał całe tomy przekładów Keatsa, Wilde'a, Browninga, Yeatsa i in., marzył o przełożeniu wszystkich dzieł Szekspira, Byrona, Shelleya, ale śmierć nie pozwoliła mu dokończyć tego przedsięwzięcia, wykonanego już zresztą w znacznej części. Innych poetów angielskich skupił w pokaźnym (bezmała 500 stron obejmującym) wyborze, wydanym niegdyś u Altenberga (1907).

Wybór ów — oddawna już wyczerpany — ukazał wprawdzie w Kasprowiczu nietylko poetę, ale i filologa, bo zaopatrzony został szeregiem notatek, wybornie informujących polskiego czytelnika o życiu i twórczości każdego z pisarzy; nie mniej była to antologja o charakterze dość przypadkowym i niejednolitym, w której miarą kompozycyjną był

[1]) Zupełnie jakby kto dzisiejsze literatury: czeską i serbską ochrzcił równie archaiczną wspólną nazwą; „literatury wielkomorawskiej“!

nie wzgląd na rozwój literatury angielskiej, ale jedynie osobiste upodobanie tłumacza. Z tej jednostronności wszakże zdawał sobie Kasprowicz sprawę, przeto przez szereg lat następnych — już na stanowisku profesora — pracował usilnie nad uzupełnieniem swego naukowo-poetyckiego przedsięwzięcia. On, który w latach młodszych terminował niemal w cechu tłumackim jako współpracownik „Obrazu literatury powszechnej“ pod redakcją Piotra Chmielowskiego, na schyłku życia miał już gotową pracę ogromną, stanowiącą pokłosie poprzedniej antologji, a noszącą dla swej kompletności słuszne nazwanie: „Obraz poezji angielskiej“.

Obraz ten ukazał się właśnie przed niedawnym czasem[2]), wydany pięknie w pięciu tomach nakładem Wojciecha Meiselsa, zasłużonego już wpierw staranną 22-tomową edycją dzieł samego poety. Zasługa tym razem jest podwójna, bo nakładca „Obrazu“ był jednocześnie i opiekunem samego tekstu. Pod tym względem pracę miał niełatwą. Kto (jak podpisany recenzent) zajmował się rękopisami Kasprowicza, wie, jak bywają one nieczytelne, zwłaszcza gdy utwór jakiś (co się poecie często zdarzało) pisany był jednym zamachem pióra lub — co gorsza — w chwilach gorszej weny obfitował w przekreślenia, skróty wyrazowe a nierzadko i plamy atramentowe. W porównaniu z temi „hieroglifami“ (jak przezywał je sam autor) odczytywanie rękopisów Słowackiego czy Sienkiewicza jest prawdziwym odpoczynkiem. Nic też dziwnego, że tu i owdzie wydawca pozostawił luki na wyrazy „całkiem nieczytelne“, a w niektórych miejscach pewne wyrazy odczytał błędnie[3]). Te drobne błędy jednak będzie można poprawić w erratach. Za całość wydawnictwa można być tylko wdzięcznym wydawcy, jako że udostępnił nam dzieło niebywałej wartości. Przekłady tu zawarte należą do najlepszych, jakie wyszły kiedykolwiek z pod pióra Kasprowicza. Wprost zdumiewająca jest skala środków artystycznych, użytych przez tłumacza. Miał przecież przed sobą utwory najrozmaitsze, z różnych epok, ba, ze społeczeństw wręcz do siebie nawzajem niepodobnych. Jakiż kontrast tworzy prymitywna ballada ludowa z pseudoklasyczną górną odą Drydena, a wytworny Tennyson z rubasznym królem Jakóbem V! Wżywać się musiał tłumacz w różne style i nastroje, a rytmiką wierszową nie chciał zbyt oddalać się od pierwowzoru. Na uwagę zasługuje i to, że są to przeważnie utwory przedtem czytelnikowi polskiemu nieznane. W kilku tylko przekładach zmierzył się z dawnymi tłumaczami: w przekładzie „Ossjana“ z Goszczyńskim, w przekładzie „Pieśni o koszuli“ Hooda — z Wł. Nawrockim. Tłumacząc Miltona, bodaj że wszystkich pozostawił daleko za sobą.

Nie doczekały się jeszcze wydania studja Kasprowicza o literaturze angielskiej. W „Dziełach“ przedrukowano tylko rozprawę o „Motywie przyrody w lit. ang.“, zamieszczoną swojego czasu w „Myśli Narodowej“. Studja o „Rodzinie Cencich“, o „Motywie Salomy“ i inne czekają ostatecznego przygotowania do druku. Oby jak najrócej!

II

W czasie gdy Kasprowicz swoją pierwszą antologją (1907) torował społeczeństwu polskiemu drogę do zapoznania się z całokształtem literatury angielskiej, fachowa i oficjalna anglistyka właśnie zyskała pierwszego i to wybitnego przedstawiciela w osobie prof. uniw. krakowskiego, Romana Dyboskiego. Młody naówczas uczony zasłynął nietylko w Polsce, ale i poza jej granicami szeregiem nader wartościowych prac naukowych o literaturze średniowiecznej, Szekspirze, Miltonie i in., to też spodziewano się po nim, że niebawem obdarzy literaturę polską wielkiem dziełem, obejmującem całą historję angielskiej literatury. Nadzieje te przecięła wojna, w ciągu której prof. Dyboski tułał się przez lat kilka po całej Rosji. Ledwo po wojnie powrócił z tułaczki, rozpoczął drugą tułaczkę — już nie tak ciężką, choć równie absorbującą — prowadząc okresowe wykłady w Anglji i w Ameryce. Nawał różnych zajęć nieraz odrywał go od pracowni naukowej, a nastrajał raczej do publicystyki. Dlatego to po wojnie pojawiły się tylko dwie książki Dyboskiego, wyłącznie literaturze angielskiej poświęcone (napisana przed wojną monografja o Szekspirze oraz powstała podczas wojny zwięzła monografja o Byronie); inne książki wybiegają daleko poza tę metę („Anglja po wojnie“ 1924, „Stany Zjednoczone Ameryki północnej“ 1931, „*Some Aspects of contemporary England*“ 1930), a literaturą zajmują się tylko przygodnie. Stosunkowo najwięcej spraw literackich znalazło się w książce „O Anglji i Anglikach“ (1929), gdzie spotykamy m. in. piękne artykuły okolicznościowe o „Juljuszu Cezarze“ Szekspira i „Świętej Joannie“ Shaw'a, wybornie nakreślone sylwetki Ben Jonsona, Meredītha, Hardy'ego, Chestertona, oraz recenzję „Białej Małpy“ Galsworthy'ego.

III

Szkice o Anglji dzisiejszej ogłaszał niemal jednocześnie z Dyboskim młodszy jego kolega na katedrze uniwersyteckiej prof. Władysław Tarnawski. Szkice te jednak w większym zakresie dotyczyły angielskiej literatury, niż spraw politycznych i społecznych. Po ogłoszeniu cennej monografji o Krzysztofie Marlowe, po opracowaniu szeregu tomików „Bibljoteki Narodowej“, prof. Tarnawski przystąpił do pracy tej, której poniechał Dyboski, a mianowicie rozpoczął zakrojoną na szerokie rozmiary „Historję literatury angielskiej“. Pomimo że w czasie jej pisania przybywało mu zarówno roboty, jak i materjału — tak, iż z pierwotnie projektowanych dwóch tomów rzecz rozrosła się conajmniej na trzy tomy — jednakże dzieło posuwa się naprzód z podziwienia godną nietylko uporczywością, ale i prędkością. Między pojawieniem się pierwszego i drugiego tomu upłynęły zaledwie trzy lata[4]), a należy się spodziewać, że najdalej za dwa do trzech lat otrzymamy tom trzeci i ostatni, dzięki czemu będziemy mieli nareszcie pierwszy poważny podręcznik literatury angielskiej, który niewątpliwie na przestrzeni kilkudziesięciu lat bę-

[2]) „Obraz poezji angielskiej“ z orygin. ang. zebrał, przełożył i notatkami biograficznemi opatrzył Jan Kasprowicz. Wydał z rękopisu Wojciech Meisels. Kraków 1931. Tomy I — V.

[3]) Np. w tomie II, na str. 71 ma być „najzwyczajniej“ (a nie „najwyraźniej“); w tomie III, na str. 6 powinno się czytać: „Pakuwjusza, Akcja“ (Pacuvius i Accius—poeci rzymscy), a nie „Akoja, Pakowjusza“ i t. d. W jednem miejscu (t. IV) pomieszano Keatsa z Yeatsem.

[4]) Władysław Tarnawski, „Historja literatury angielskiej od Swifta do Burke'a i Burnsa“. Lwów. Nakład i własność K. S. Jakubowskiego, str. 644.

dzie nieodzownem *vademecum* każdego anglisty. Dzieła podobnego nie mieliśmy dotąd w naszej literaturze, bo ani rozmiarami, ani wartością nie może się z pracą Tarnawskiego mierzyć popularny zarys dziejów literatury angielskiej, wydany niegdyś przez M. Rakowską.

Mówiąc „zaledwie trzy lata“, nie to miałem na myśli, że ten przeciąg czasu jest chwilką wobec wieczności, tylko przypominałem sobie tempo wydawnicze innych naszych edycyj monumentalnych, choćby takich „Stu lat myśli polskiej“, które chyba istotnie dopiero za sto lat doczekają się ukończenia. A wszak tam powołano cały sztab współpracowników specjalistów, tu zaś wobec niemniej olbrzymiego zadania stanął jeden tylko człowiek, któremu jeszcze nikt u nas nie torował dróg na tem polu...

Albowiem literatura angielska XVIII w., stanowiąca treściową zawartość tomu II, była dotąd stosunkowo mało nawiedzana przez czytelników polskich, a przez anglistów polskich rzadziej jeszcze. Z prac Dadleza i Helsztyńskiego dowiadujemy się, że ongi cieszył się w Polsce pewną wziętością klasyk Pope, a prof. Szyjkowski zbierał kiedyś dane, wskazujące zasięg wpływów Macphersonowskiego „Ossiana“ na literaturę polską; o poczytności Richardsona i Younga świadczyły różne starościny i „żony modne“, o pewnem zaś zainteresowaniu się Goldsmithem spóźniony przekład „Wikarego z Wakefieldu“ i parę artykułów. Przygodnie też spotykali Polacy nazwiska Blake'a i Burnsa w drobnych *essay*'ach, zagubionych dziś w rocznikach dawnych czasopism. Jedynie dzieła Swifta i Daniela Defoe czytywane są po dziś dzień — niestety tylko w przeróbkach dla dzieci; prof. Tarnawski z humorem wyraża się o tych przeróbkach: „wyjąwszy z granatu materjały wybuchowe, dano go jako grzechotkę do zabawy milusińskim“.

A przecie wiek ów — dzięki romantykom niegdyś w cień zepchnięty, nawet ośmieszany niekiedy — to jedna z najciekawszych kart w dziejach umysłowości ludzkiej. Wszak gdy chodzi o powieść, najpoczytniejszy dziś niewątpliwie gatunek literacki, to dzisiejsza jej postać wywodzi się właśnie z Anglji XVIII wieku, gdzie na tem polu — prócz wspomnianych Defoe'go, Swifta, Richardsona i Goldsmitha — jaśnieją nazwiska niemniej wybitnych twórców: Fieldinga, Smolletta i Sterne'a. A druga, że tak z emfazą powiemy, dzisiejsza „potęga“, a mianowicie dziennikarstwo nie skąd inąd, ale właśnie z angielskiej literatury w. XVIII wzięło początek, co więcej osiągnęło ono dzięki Steelowi i Addissonowi[5]) już tam poziom taki, do jakiego nie dosięga żurnalistyka niejednego państwa dzisiejszego. Nie straciliby ponoś nic tak dziś rozpanoszeni krytycy, gdyby się dowiedzieli czegoś o swym patrjarsze, starym doktorze Johnstonie — choćby z anegdotycznej biografji Boswella. Nietylko historykowi, ale i politykowi nawet w czasach dzisiejszych bardzo pożyteczne okazać się może niepożyte dzieło Gibbona o upadku państwa rzymskiego (rozdziały, poświęcone temu, pisarzowi należą do najlepszych w dziele Tarnawskiego); i jednym i drugim nie powinna być również obcą działalność A. Smitha, Benthama, Godwina, a nadewszystko Burke'a — nie mówiliby wtedy tyle o rzekomej „nowości“ wielu rzekomych dziś ideologij. Także, gdy chodzi o szerszy — nietylko polityczny — obręb świata myślowego, to przypomnieć warto, iż na polu filozofji wydała Anglja wówczas nietylko tak oryginalnego w swych poglądach Berkeleya, ale przedewszystkiem Hume'a, któremu słynny Kant zawdzięczał bodaj że większość swych pomysłów i odkryć; w tej dziedzinie — choć w innym kierunku — położył niemałe zasługi i Reid ze swą „szkołą szkocką“, którą prof. Tarnawski niesłusznie przemilczał.

A historycy literatury — poloniści — mogąż nadal przechodzić obojętnie koło tego okresu, który był właściwą kolebką romantyzmu i pierwszym terenem jego starcia z klasycyzmem? Zbyt jednostronnie patrzyć zwykliśmy na te sprawy, pierwszeństwo w zdobyczach owej walki przypisując Niemcom. Prawdę mówiąc, to poza Anglją wszędzie — nie wyłączając Polski — były to nie starcia, ale pogromy. Manifesty romantyczne Mickiewicza czy Victora Hugo uderzały w przeciwników słabszych zarówno liczebnie jak umysłowo; klasycy i w Polsce i we Francji byli z początkiem XIX w. przeważnie niedołęgami, zresztą zrobił swoje powiew rewolucji francuskiej i burzy napoleońskiej. Natomiast w Anglji, gdy się zaczynał przełom klasyczno-romantyczny, nie było tej dysproporcji w siłach przeciwników. Starcie zatem musiało być ciekawsze i donioślejsze w skutkach. Ale o tem już będzie mowa w następnym tomie dzieła Tarnawskiego. Narazie czytelnik polski, ciekawy bezpośrednich dalszych losów owej walki, winien wziąć do ręki książkę prof. A. Tretiaka „Literatura angielska w okresie romantyzmu 1798—1831“ (Lwów, K. S. Jakubowski 1928), a nadewszystko olbrzymią i prześlicznie wydaną monografję tegoż autora o „Lordzie Byronie“ (Wydawnictwo Polskie. Poznań 1930).

Wiele, bardzo wiele jest powodów, dla których gruntowne i obszerne dzieło prof. Tarnawskiego winno znaleść się w każdej bibljotece szkolnej i w rękach jak największej ilości czytelników. Prócz wielkich zalet naukowych ma ten podręcznik wielką wartość zarówno dydaktyczną jak literacką. Układ jest przejrzysty, logiczny, przytem mnemotechnicznie ułatwiony zapomocą licznych nagłówków. Wykład potoczysty i barwny, odznaczający się trafnością spostrzeżeń i znaczną dozą wybornego humoru. Stylistą jest Tarnawski pierwszorzędnym; włada zarówno angielszczyzną, jak polszczyzną wprost świetnie, co każe nam przypomnieć, że autor „Polskich przekładów Szekspira“ odbył kiedyś gruntowne studja polonistyczne i niejedną pracę polonistyczną (o Sienkiewiczu i t. d.) ma w swym dorobku. Szczególnej uwagi są godne, wplecione tu i owdzie, własne przekłady — prozaiczne i wierszowane — samego autora. Przychodzi mi na myśl, że nikt tak w Polsce podobno nie potrafiłby dziś przełożyć Spensera i Miltona; próbki, zamieszczone w I-ym tomie „Literatury“, są wręcz kongenjalne. Życzyć sobie należy, byśmy się rychło doczekali dalszych tomów tego dzieła — i jego całości, której przedsmak dał nam już Tarnawski w zwięzłym zarysie literatury angielskiej, zamieszczonym w „Literaturze powszechnej“ pod redakcją dr. Lama (Trzaska-Evert-Michalski 1931).

JÓZEF BIRKENMAJER

5) (*„The Tattler“*, *„The Spectator“*).

NA WIDOWNI

Pouczająca historja chłopska. — Bujak, Inglot, Kuraś, Magryś. — Co Magryś zastał po uwłaszczeniu, a co zostawia. — Reformator i twórca. — Czarownice i spółka mleczarska. — Kto w Polsce zdał egzamin z historji.

OPOWIEM państwu sensacyjną historję o Franciszku Magrysiu. Piszę tę rzecz w czasie świąt Zmartwychwstania, nastrojony na przyjęcie wiosny. Nie umiałbym wybrać odpowiedniejszego tematu do dzielenia się nim z czytelnikami, niby jajkiem wielkanocnem, niż ten, który mi nastręczyła skromna książka „Żywot chłopa-działacza". Jest to pamiętnik, spisany przez chłopa z Handzlówki pod Łańcutem, Franciszka Magrysia, a wydany jako pierwszy tom „Bibjoteki dziejów i kultury wsi" (Lwów 1932).

Bibljotekę taką zaczął wydawać znakomity nasz uczony, historyk, ekonomista, socjolog, prof. Franciszek Bujak. Przed laty dwudziestu pisał przedmowę do podobnego pamiętnika Jana Słomki z Dzikowa pod Tarnobrzegiem. W r. 1925 prof. Bujak ogłosił ankietę na temat „Drogi postępu chłopa polskiego". Wtedy wyszły pamiętniki Ferdynanda Kurasia „Przez ciernie żywota" z przedmową Stefana Żeromskiego. Za przykładem tych autorów poszedł Magryś. Prof. Bujak o jego pracy tak się wyraża w przedmowie: „Kto wątpi o przyszłości wsi, kto trwoży się o losy Polski, niech bierze do ręki tę książkę, a znajdzie w niej otuchę i pokrzepienie".

Święta prawda. Prof. Bujak nigdy jednego słowa na wiatr nie wypowiedział. Na mnie ta książka zrobiła wielkie wrażenie, a przecież nie od dzisiaj patrzę w stronę ludu. Porywa mnie radość, że to, cośmy w starem pokoleniu, dożywającem teraz swych lat, przed półwieczem głosili o przyszłem odrodzeniu Polski z głęboką wiarą w lud, że to nie była poezja tylko, że życie samo dorasta do naszej idei i zmusza wszystkich, realnie w przyszłość patrzących, do poważnego liczenia się z siłą twórczą wsi polskiej. Zapewne wszyscy czytelnicy „Myśli Narodowej" są pod wrażeniem artykułu Zygmunta Raczkowskiego w poprzednim zeszycie: „Droga odrodzenia". Ta droga kędyż prowadzi, jak nie przez wieś naszą? Do niedawna pisali o tem poeci, którzy widzą rzeczy, idące zdaleka (Kasprowicz, Wyspiański), a teraz pisze się to prozą publicystyczną. Raczej „poetami", snobami, nie prorokami, byli ci, którzy nas ubierali w idee międzynarodowego, towarowego rozwoju dziejów i wielkiego kapitału. Gdy ten świat sztuczny się wali, wtedy zaczynamy się przyglądać własnym prymitywom. Rozpacz podsuwa nam pojęcie „samostarczalności": a więc poprzestać na swojem? Tymczasem będzie to odrodzenie życia od podstaw, których dotąd nie mieliśmy czasu ugruntować.

Pamiętnik Magrysia opracował do druku, wyjaśnił, opatrzył przypisami i aparatem naukowym uczeń prof. Bujaka, dr. Stefan Inglot, pochodzący z Albingowej, wsi sąsiadującej z Handzlówką Magrysia. Sam prof. Bujak pochodzi z ludu. Jego wielka myśl, której służy całe życie, zużytkowania ludu na cele budownictwa narodowego w wielkim stylu — jest w duszy ludu. Te same pierwiastki, które dają życie pracy naukowo-ideologicznej Bujaka i Inglota, znajdują się już w stanie uświadomień w duszy prostego chłopa Magrysia.

Wszyscy trzej i Ferdynand Kuraś (z imionami cesarza i arcyksiążąt austrjackich) są reprezentantami ludu galicyjskiego z końcowego okresu rozbiorów, a zarazem postaciami charakterystycznemi dla całości nowożytnych dziejów Polski. Proces rozwojowy w życiu naszem XIX w. nie ustawał, ale dynamika rozmaicie była rozłożona. W zaborze rosyjskim największy postęp zrobiła szlachta, w zaborze pruskim mieszczaństwo, w austrjackim zaś— chłopi wykazali się największym postępem w stosunku do innych warstw społecznych.

Przeczytajcie pamiętnik Magrysia. Urodził się w r. 1849, wspomnienia swoje pisał w 1925. Co zastał w swojej wsi, a co zostawia? Dokładnie już opowiada o tem, co było w r. 1865-69. Wieś Handzlówka pod Łańcutem jest typową wioską podgórską, gdzie gleba niezbyt urodzajna, a ziemi wogóle mało. Za jego młodości panowała taka nędza, że za bogacza uważał się ten, kto jadał chleb żytni. Mieszano żyto z owsem i dodawano wyki. Chleb z wyką był ekonomiczniejszy, bo go niewiele można było spożyć i trwał dłużej. Mieszkano w kurnych chatach, skąd dym wypuszczało się przez drzwi otwarte. Ludzie często gęsto marli z głodowego wycieńczenia. Był to ten stan, który ujawnił St. Szczepanowski w słynnej książce „Nędza Galicji".

Nędzne krowy, zamknięte w zimie w ciasnych obórkach, słabo odżywiane, zarośnięte gnojem, pozbawione powietrza, na pół żywe wyprowadzono wiosną na paszę. Padały w drodze i dźwigane przez ludzi, chwiejąc się na nogach, witały wiosnę. Mleka nie było lub nie nadawało się do spożycia. Posądzano wtedy o czary i biada było kobiecie, która pierwsza zbliżyła się do chaty, gdzie czary zamawiano. Ciągłe choroby ludzie leczyli przez zapuszczanie kołtuna, który po obcięciu zatykano w strzechę lub w starą wierzbę. W całej wsi na niespełna tysiąc ludzi, pierwszy Magryś nauczył się, jako duży chłopak, sztuki czytania. Wójt w Handzlówce nie umiał ani czytać, ani pisać. Pisarzem gminnym był żyd karczmarz. Ten prowadził kancelarję u siebie w szynku, gdzie też odbywały się przy wódce zebrania gminne.

Cała ludność zadłużona była u żydów, którzy darli z niej skórę i tak rozpajali, że byli chłopi, którzy w karczmie całe dni spędzali, a żony przynosiły im do szynku obiad. Po drogach co paręset metrów była karczma. Chłopi, zarobkujący zwożeniem kamieni do Łańcuta, zostawiali tam cały swój zarobek. Zboże słabo rodziło, bo kmiecie popańszczyźniani nie umieli ziemi uprawiać, pługi mieli drewniane. Uprawiali głównie owies, żyta mało, do siewu przeznaczając najdrobniejsze ziarno, bo lepsze szło na chleb. Orano tylko z wiosną w zagonki czteroskibowe, nawozu nie stosując.

Magryś był synem rodziny bezrolnej, która jednak znała sztukę tkactwa. I to rzemiosło uratowało dzieci, które stosunkowo dostatniej się żywiły. On z bratem już jako dorośli młodzieńcy uradzili, że należy się nauczyć pisać. Niech to sam Magryś opowie:

„Szkoły nie było, a w całej wsi pisać umiał tylko stary organista. Trudno też nam było o przybory do pisania i nie wiedzieliśmy, jak je zdobyć. Przypadek nam dopomógł. W wielkim poście przybył do nas organista, obchodzący wieś w celu spisywania ludzi do spowiedzi i on nam poradził, jak własnym przemysłem można zrobić atrament i jak z gęsiego pióra można zrobić dobre pióro do pisania. We wsi gęsi nikt nie chował, z wyjątkiem plebanji i dworu, g d z i e ś m y n i e m i e l i d o s t ę p u, więc początkowo zrobiliśmy

pióra z trzciny, a dopiero gdy nasza krewna, która u żyda służyła, przyniosła nam skrzydło gęsi, mogliśmy narobić piór poddostatkiem. Pióra te jednak nie chciały pisać. Czekaliśmy, aż znów rychło przyjdzie do nas organista, by zapytać się go, jakie ulepszenia należy jeszcze wprowadzić. Pokazało się, żeśmy zapomnieli rozciąć pióro na końcu. Gdyśmy to zrobili, pióro dobrze pisało. Jako wzór do kreślenia liter służył nam druk i dlatego najpierw nauczyliśmy się pisać alfabet drukowany. Dopiero gdy w sąsiedztwie mieszkający wójt wzywał nas często do odczytania różnych pism rządowych, od niego braliśmy je i według takiego wzoru nauczyliśmy się alfabetu pisanego"... (str. 39).

Magryś ciężko borykał się z losem, bo po śmierci matki utracił chatę i warsztat, służył jako parobek, potem się przyżenił do paru mórg. Ale inteligencja, niesłychana pracowitość i ideowość rychło zapewniły mu górujące we wsi stanowisko moralne. Przedewszystkiem owa sztuka pisania. Kiedy żyd zbytnio już gminie dokuczył, zaproponowano mu pisarstwo gminne. Ten postawił warunek, że progu karczmy noga jego nie przestąpi. Postawił na swojem i rychło sprawami gminy zawładnąwszy, wziął się do pracy reformatorskiej. Opisuje swoje prace i walki z całą skromnością, ale widać z faktów, że wieś miała do czynienia z człowiekiem silnym, wytrwałym, mądrym i dobrym dyplomatą. Nie mogę opisywać, co w Handzlówce się działo rok po roku. Wymienię tylko, że pod wpływem tego działacza wioskowego: 1) pobudowano drogi, 2) ulepszono budownictwo domów, 3) założono szkołę, 4) zbudowano murowany kościół, 5) zmieniono uprawę roli według doświadczeń, poczynionych przez Magrysia, 6) wyrugowano żydów w znacznej części, 7) oduczono się pić (to cała epopea!), 8) dokupiono ziemi w drodze parcelacji, 9) założoną straż ogniową, 10) orkiestrę, 11) założono kółko rolnicze męskie, a że kobiety przeszkadzały, Magryś zorganizował je w osobne kółko gospodarstwa domowego, 12) powstały trzy sklepy, 13) spółka mleczarska, 14) Kasa Reifeisena i t. d.

Dosyć powiedzieć, że mleczarnia w Handzlówce w r. 1929 przerobiła 543.300 litrów mleka, aby uprzytomnić postęp w ciągu lat 60 od czasu owych czarownic i krów zdychających. Wieś, która liczyła wówczas 734 ludności głodującej, dziś żywi dostatnio według spisu z 1921 r.—1539 ludzi. Miło popatrzeć na ilustracje, do pamiętnika dodane, jak tam ubrani są dzisiaj ludzie, jakie ładne mają domostwa, jaki mają kościół, mleczarnię, remizę strażacką, szkołę.

Do samego Magrysia, do jego charakteru i umysłowości chciałbym jeszcze powrócić kiedyindziej, bo tutaj niema już miejsca. Kiedy jednak mowa o tych zdobyczach wsi, niepodobna opędzić się refleksjom, ile mamy do zrobienia w całym kraju w celu podniesienia wytwórczości i podniesienia człowieka w jego godności obywatelskiej. Niech świadczy sąsiednia wieś Albingowa, jak rozwiązuje kwestję pauperyzmu i bezrobotności. Z tych wiosek, gdzie nie było dawniej książki i gęsiego pióra, młodzież uczęszcza do uniwersytetów. Mnożą się rzemiosła, kwitnie kultura w ziemi i ludziach.

Handzlówka zasługuje na szczególną uwagę, jako wzór samopomocy chłopskiej. Przed wojną opowiadał mi jeden z literatów, który bywał w Łańcucie, o szalonym kontraście, jaki panuje między nędzą okolicy wiejskiej, a pałacem hr. Potockich. Zwiedził on salony stajenne koni wyścigowych, istne muzeum historyczne karet, a w najbliższem sąsiedztwie dzieci, bez szkół dziko i w nędzy chowane, kamieniami za przejezdnymi rzucały. W pamiętniku Magrysia, z polityczną kurtuazją pisanym, nie ma śladu, żeby Handzlówka, gdzie hrabstwo mieli prawa kolatorskie, w pracy swojej jakiejkolwiek doznała pomocy ze strony Łańcuta.

Tak było w całej Galicji. Austrja za cenę konstytucji wycofała szlachtę z pracy gospodarczej i społecznej, zatrudniając ją prawie całkowicie w polityce i paradach reprezentacji. W sejmie galicyjskim na 150 posłów w r. 1883 było 105 wielkich właścicieli ziemskich (30 hrabiów, 5 książąt). Jak pisał prof. Bujak w swojem znakomitem studjum pt. „Galicja", szlachta galicyjska chciała tylko przewodzić, ale nie potrafiła przodować. Sama zaniedbawszy gospodarstwo dla mandatów i urzędów (jak szlachta XVII w.), odciąwszy się od ludu w swoich obszarach dworskich, uczyła ludu waśni politycznej klasowej. Lud, pozostawiony sobie, ratował się samopomocą, a do jakich rezultatów dochodził, świadczy Handzlówka Magrysia.

Cóż leży przed nami? Ruch narodowy, z którego wyłoniły się ugrupowania polityczne narodowej demokracji, w programach swoich od początku tego stulecia powołuje ludzi myślących na tę jedyną drogę rozwoju: walczyć ze stanowością, wiązać z ludem warstwy górne w pracy na wszystkich polach, aby wspólnie wytwarzać podstawy samodzielnego bytu narodowego. Praca od góry prowadzona w zaborze rosyjskim przez szlachtę, obecnie skoordynować się winna z metodą pracy od dołu chłopstwa galicyjskiego, aby wziąć w obroty miasta według wzorów mieszczaństwa wielkopolskiego.

Bo przychodzą czasy przodowania w pracy, nie przewodzenia; i gdy pałace nie mają nic do powiedzenia, Magryś zabiera głos i uczy, jak robić, i wzór daje, i serca krzepi, lepszą przyszłość wskazując.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„KLISZOWOŚĆ" WYRAŻEŃ DZIENNIKARSKICH ZNAKOMICIE SPRZYJA utrwaleniu się, wśród czytającego ogółu, zamiłowania do bombastycznej frazeologji w rzeczach polityki. Zamiłowanie to niejednokrotnie tak silne, że frazes przekłada nad rzecz samą. Kliszę woli się od rzeczywistości, o wiele częściej stawia nam ją przed oczy „życie" polityczne, które stało się przedewszystkiem powtarzaniem frazesu — drukowanego, mówionego, krzyczanego... Era dzisiejsza, jak żadna inna, stała się erą słów wielkich. „Brzemię wielkości", — czytamy w numerze przedświątecznym „Gazety Polskiej". „Można" — pisze pod tym nagłówkiem p. Matuszewski — „nazwać mus wielkości błogosławieństwem, lub przekleństwem. Ale nic nie zmieni tego, że jest on naszym losem". Tak ponosi rozpęd frazesu. Zdawałoby się, że Los, że konieczność dziejowa. Tymczasem—istnieje także inna alternatywa—wielkości można doskonale uniknąć. Tę drogę wyjścia także znaleziono, i przynajmniej od lat sześciu nią się idzie. Jeśli wielkość — to nasz los dziejowy, to przynajmniej od lat sześciu z tym losem poramy się zwycięsko. Niema w wielkości, zaprawdę, nic nieuniknionego. Jeśli brzemię jej spaść miało akurat na barki polskiego Atlasa, i przytłoczyć go—to Atlas właśnie arcy-zręcznym ruchem pleców się uchy-

lił. Lekko mu, lekko, choć w dziennikach obwieszczat ragizm „brzemienia"... Charakterystyczne, że im więcej niesławy najadł się Polak w ostatnich latach swej powojennej historji, im bardziej traci szacunek zagranicą, tem „naturalniej" utrwala się na łamach urzędowej prasy przeświadczenie, że wielkości nie można uniknąć. Niestety, dzieje takiego fatalizmu nie znają... Miljon niesportowych a sprytnych gestów i ukradkowych poruszeń nie składa się na tragiczną postawę olbrzyma. I zaiste, nie tak monumentalnie wyglądamy, gdy z Zachodu padnie spojrzenie w naszą stronę. Ten dyzgust, ten brak szacunku, jaki dziś czytać łatwo w tem spojrzeniu, nie jest to tylko niesmak intelektualny — bo ludziom zachodnim trudno go zupełnie przezwyciężyć także w polityce praktycznej. Bilansu strat konkretnych, jakie skutkiem tego dotychczas ponieśliśmy, dotąd nie nakreślono. „Psychika nasza zbyt często kształtowała się tak, jakgdyby Polska była odciętą od reszty świata wyspą. Resztki tej psychologji tkwią w nas mniej lub więcej podświadomie czy wpółświadomie. Trzeba je wyplenić" — czytamy we wspomnianym artykule. Czyta się to gładko... dodajmy, że w żadnej epoce takich starań nie czyniono, aby w Polsce wyhodować odrębną od zachodnio-europejskiej psychologję, jak w ciągu ostatnich lat sześciu. Rezultatem tych forsownych wysiłków jest jedna więcej „dysproporcja" — między urzędowo i półurzędowo szerzonem wyobrażeniem o monumentalności naszej pozy wśród narodów współczesnej Europy, a groteskowo odmiennem wrażeniem zagranicy. „Wielkość" nie jest faktem, który można ustalić jedynie na podstawie głosów prasy czy opinji krajowej. „Wielkość" — to także istotna jej cecha — to coś, narzucającego się też narodom obcym, coś, co im również imponuje. Uważać, że wszystko i zawsze musi imponować — to szczyt optymizmu. Co powiedzieć o czasach, które wielkość znają tylko jako dziennikarską „kliszę"?

NOWY, PO REKONSTRUKCJI, RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ, urzęduje już przeszło tydzień, i o tydzień przeszło bliższy jest swego końca. Banalne wydawać się może tak proste spostrzeżenie —lecz w każdym razie dodaje mu zadzierzystości fakt, że żyjemy w dobie szczególnej niestałości rządów. Uczeń też wie, że skończyć się muszą jego wakacje, a jednak w pamięci notuje: „Już o tydzień bliżej do końca..." Pomijając już samo zjawisko częstotliwości zmian w rządzie, personalja także pobudzają myśl do refleksji, że dzisiejszy skład osobisty gabinetu nie nosi również cech ostatecznego wyboru... Prawda, poto się stał zamach majowy, aby tekę wicepremjera ostatecznie piastował dziś p. Zawadzki, aby premjerem był obecnie p. Prystor. Bezwątpienia, to jest rezultat sześcioletniego przesiewania, sześcioletniej selekcji. Z pewnością to ostatnie, najdoskonalsze stadjum. W danej chwili, w niem streszcza się sens najnowszych naszych dziejów. Warto wpatrzyć się w te postacie, aby ów sens wydobyć. A przecież, choć to ostatnie słowo ewolucji, jest jakiś głos, co szepce opinji, że tu nie kres rozwoju. Tytułem dokumentu zacytujmy świadectwo współczesnego pisarza — z „Ilustrowanego Kurjera Codziennego". Oto wrażenie z sejmu, podane ostatniej soboty: „Wszedł rząd w komplecie i zajął swoje miejsca. Włożyłem binokle, aby widzieć lepiej. Właściwie zwyczajni ludzie. Tyle tylko, że w formacie gabinetowym. Patrzyłem na nich życzliwie, nawet z pewnem współczuciem. Nie wiedzą, co ich czeka. Nie znają swego jutra. Weźmy np. takiego ministra reform rolnych. Czy mu się śniło przed tygodniem, że go wezmą do skarbu? Czy mu się wogóle śniło o skarbie? Przecież, gdyby jeszcze rok temu powiedział mu ktoś: „Obejmiesz finanse", wyprosiłby sobie takie żarty w sposób najbardziej stanowczy. A dzisiaj jest wiceministrem skarbu. On — prehistoryk i archeolog!" —Tak, niema nic ostatecznego w dzisiejszej, przemijającej, jak wszystko na świecie kombinacji. Nie znaczy to, aby aż do czasu dwunastej zmiany rządu, obecny gabinet nie mógł współpracować harmonijnie z większością rządową w sejmie. Skuteczność tej współpracy odrazu narzuciła się oku cytowanego już przez nas obserwatora, który tak o tem pisze: „Odnoszę wrażenie, że ani dyrekcja, ani wykonawcy nie troszczą się o efekt. Lekceważą sobie publiczność. W każdym razie reżyserja niżej wszelkiej krytyki. Głównie zaś uderza przybysza brak jakichkolwiek form.. Posłowie i urzędnicy bez celu fertają się pod nosem marszałka i mówców. ...Przy głosowaniu nad olbrzymią serją poprawek, większość wstaje automatycznie, bez pozorów entuzjazmu, wykonując przepisowe *auf* i *nieder*".

W WARSZAWIE ODBYŁ SIĘ MIĘDZYNARODOWY konkurs Szopenowski pianistów. Stanęło do niego kilkudziesięciu wirtuozów z wielu krajów. Miał to być zapewne nie tylko popis techniki muzycznej wogóle, ale także obraz, w jaki sposób każda narodowość odczuwa Szopena i interpretuje. Trybunał znawców oszacował na punkty wartości muzyków i rozdał nagrody.

Obecnie prasa żydowska („Nowy Dziennik") stwierdza, że osiem pierwszych nagród przypadło Żydom. Popisywali się niemal wyłącznie Żydzi. Były to, jak określił dowcipnie A. Słonimski, wyścigi nie tyle konne, ile starozakonne. Nagrody otrzymali wedle wspomnianego dziennika żydowskiego: Aleksander Uniński, „wnuk słynnego chazena w Kijowie" (pierwszą nagrodę), Ungar Imre, „syn ortodoksyjnych rodziców", Abraham Lufer, żyd z Kijowa, Bolesław Kon, żyd warszawski, Ludwik Kentner, żyd węgierski, Leonid Sagałow, żyd z Charkowa, siódmą nagrodę otrzymał Leon Boruński, członek orkiestry „Morskiego Oka", a ósmą Teodor Guttmann z Warszawy.

Po co to było Warszawie? Czy chciano udowodnić, że w sto lat po opuszczeniu Warszawy przez Szopena nikt w Polsce nie umie go już zagrać, a że natomiast jedni Żydzi zdolni są odczuć i oddać ducha muzyki polskiej? Może wreszcie z faktu tego ten konkurs da do myślenia snobom międzynarodowości, że jedynym „międzynarodem" są żydzi i że cokolwiek dla idei międzynarodowej współpracy się robi, to się robi dla popisu Żydów.

Świat muzyczny opanowany jest zupełnie przez nich. Polakom, którzy ich pomysły wykonywają i serjo te rzeczy biorą, nie przychodzi nawet na myśl, że służą sprawie reklamowania wszechpotęgi żydowskiej. W samem obesłaniu zjazdu konkursowego do Warszawy widać organizacyjne sprężyny światowego żydostwa. Ręczyć można, że arjowie niebardzo wiedzieli o konkursie, pochwyconym

przez pośrednictwo muzyczne, które jest na całym świecie żydowskie.

Teraz narody europejskie zajmują się usilnie swojem życiem wewnętrznem na wszystkich polach i nie dbają o popisy międzynarodowe. Jedni Żydzi są stałą instytucją międzynarodową. Nawet Polacy już wiedzą, co się święci, bo np. do Ligi Narodów posyłają od siebie Żydów. Nie jest to bezpieczne, ale wprost niehygieniczne jest urządzać stosunki wewnętrzne artystyczne w ten sposób, aby na szczycie stały instytucje międzynarodowe, jak „Penkluby” lub takie konkursy, jak szopenowski. Zażydzamy się od góry do dołu. Zdawało się, że jednak dusza nie myli się w wyczuciu mazurków Szopena. I tutaj dostał się posmak „majufesu”.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W tych dniach nastąpił nareszcie epilog w Sądzie Najwyższym głośnej sprawy o prawa autorskie po ś. p. Adolfie Dygasińskim.

Firma „Bibljoteka Groszowa“, przejąwszy prawa wydawnicze po księgarni E. Wende, wydała kilka tomów pism zbiorowej edycji Ad. Dygasińskiego, zresztą w sposób urągający wszelkim pojęciom o wydaniach zbiorowych, poczem p. Winawer, właściciel „Bibljoteki Groszowej“, wydawnictwo dzieł zbiorowych zawiesił, należności regulować nie chciał, a umowy rozwiązać nie myślał. Po wielu miesiącach bezowocnych pertraktacyj, córka Ad. Dygasińskiego, p. Zofja Wolertowa zmuszona była zaskarżyć nakładcę do sądu. Pięć lat trwało przewlekanie sprawy, która ciągnęła się przez wszystkie instancje. W sposób bezprzykładny nawet w naszych stosunkach, wydawca zaprzepaszczał spuściznę literacką jednego z najwybitniejszych i najbardziej polskich pisarzy. Sprawę tę poruszała niejednokrotnie prasa stołeczna i prowincjonalna i „Myśl Narodowa“ kilkakrotnie w tej sprawie pisała.

Od wyroku Sądu Okręgowego wydawca odwołał się do Sądu Apelacyjnego, a niezadowolony i z wyroku Sądu Apelacyjnego, założył kasację. Chodziło zaś o rozwiązanie niewykonywanej umowy i uregulowanie przypadającej należności w sumie aż... 1.500 zł. Wreszcie Sąd Najwyższy na posiedzeniu dnia 18 marca r. b., w komplecie sędziów W. Miszewskiego, prof. Namitkiewicza i Łukaszewicza, w asyście prok. Strumpfa, (obronę wnosił mec. W. Szyszkowski), uwolnił już ostatecznie córkę Ad. Dygasińskiego od wydawcy, który wprowadził tak niezwykłe praktyki w stosunki między autorami i nakładcami.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Trzydziestolecie pracy literackiej i pedagogicznej święci w r. b. zasłużona poetka i powieściopisarka, Walerja z Szalayów Groelowa. Nazwisko to dobrze jest znane przedewszystkiem rzeszom młodzieży, oraz tłumom czytelników miejskich, bo dla tych sfer głównie pracowała jubilatka, mając zawsze przed oczyma zbożne cele moralne, patrjotyczne i obywatelskie. W nader młodym wieku otrzymała pierwszą nagrodę konkursową za nowelę, ogłoszoną w „Słowie Polskiem“, wkrótce zaś wielką wziętość zdobyła sobie, drukowana w „Małym Światku“, jej obszerna powieść historyczna z czasów Władysława Łokietka p. t. „Zaremba“. W rok później ukazała się powieść z czasów Bolesława Śmiałego p. t. „Królewskie pacholę“, która niedawno (1928) doczekała się trzeciego wydania nakładem księgarni św. Wojciecha. Podobnie wielką ilością wydań poszczycić się mogą dalsze ogniwa trylogji powieściowej o Bolesławie Śmiałym: „W orlem gnieździe“ i „Sokół królewski“ (księg. św. Wojciecha). Przewodnią ideą tego cyklu była myśl o wyzwoleniu Polski z pod władzy niemieckiej. Myśl ta tętniła nadal w powieści z czasów Krzywoustego p. t. „Za kraj i braci“, która ze względu na temat (Głogów i Psie pole) cieszyła się niepowszednią poczytnością na Śląsku, gdzie walnie przyczyniła się do budzenia świadomości narodowej. Ciągem niejako dalszym tej powieści były późniejsze powieści „Zemsta Jaśka“ (1906) i „Bohaterski Staszek“ (księg. Rzepeckiego 1929). Częstym tematem powieściowym autorki, wzrosłej na „Krzyżakach“ Sienkiewicza, była walka Polski z naporem teutońskim. Niezwykle poczytne (po trzykroć wydane) były powieści, na tem właśnie tle osnute: „W krzyżackich szponach“ (z czasów Łokietka) i „Straszne dziedzictwo“ (z czasów Jagiełły); ostatnio zaś w „Przewodniku Katolickim“ drukowała się dalsza powieść z tych czasów „Szatańskie złoto“, która niewątpliwie wkrótce ukaże się w edycji książkowej. Powieści osnute na czasach napoleońskich („Błędny ognik“, „Za gwiazdą zwodniczą“) oraz epoce powstań („Spłacony dług“, „Mały żołnierz“, „Mali bohaterowie“), nie ustępują najlepszym powieściom Walerego Przyborowskiego, pokrewnym im pod wieloma względami; są zaś od nich wcześniejsze. Obok powieści historycznych, których obfitość, zakres i cel pisarski świadczą o rozmiłowaniu się w Kraszewskim, p. Szalay-Groele obdarzyła literaturę zbiorkami pięknie napisanych legend i podań historycznych. Dwa tomy p. t. „Nasze warownie i grody“ (1910) dawno wyczerpane, zasługiwałyby na wznowienie. Ciągiem ich dalszym jest „Polska w podaniach i legendach“—cykl podań i legend poznańskich, ogłoszonych w r. 1922 w „Kłosach“ (dodatku do „Orędownika Wielkopolskiego). Treść historyczna przeważa i w utworach poetyckich („Kwiat paproci“, nagroda na konkursie „Sfinksa“ 1909, „Grunwald“, św. Wojciecha 1922), a nadewszystko w utworach scenicznych. Większość tychże przeznaczona jest dla młodzieży („Racławice“, „Królewska korona“, „Zmartwychwstali“, „Bol. Chrobry“). Rozgłos znaczny zyskała „Legenda Bałtyku“ (1924) grana w r. 1924 z muzyką Feliksa Nowowiejskiego; tenże kompozytor opracował muzykę i do drugiego libretta p. Groelowej p. t. „Dzwon Zygmunta“.

Pokaźna cyfrę w bibljografji zasłużonej jubilatki stanowią książeczki z wierszykami dla dzieci: „Zabawki Kazi“, „Psotna Andzia“, nadewszystko zaś „Jaś Morusek“, który już od ćwierć wieku jest ulubioną lekturą milusińskich. Dla starszej nieco młodzieży wydała szereg książeczek popularnych, jak np. opracowanie dzieł Mickiewicza w formie powieściowej (na wzór słynnych „Opowieści szekspirowskich“ Lambra); redagowała popularno-dydaktyczną „Bibljotekę wieczornicową“, współpracowała w układaniu czytanek szkolnych (Mikulskiego), w pismach pedagogicznych i innych, m. in. zamieszczała artykuły i utwory w „Małym światku“, „Słowie Pol.“, „Przewodniku katol.“, „Kłosach Pol.“, „Sfinksie“ i in. Zawodowo pracuje na polu pedagogicznem. (J. B.)

•

Kazimierz Lewandowski wydał we Lwowie własnym nakładem „Korale Łady“, poemat o miłości, oktawą, w ośmiu księgach, str. 357. Na wstępie zdobi książkę portret autora w płaszczu i cylindrze, rysowany przed laty w Krakowie przez Stanisława Wyspiańskiego. Tytuł okładki obramowany jest architektoniczno-malarskim ornamentem, tak jak i poszczególne księgi i niektóre strofy ornamentami, rysowanemi przez malarzy: Alfreda Żmudę, Kazimierza Olpińskiego, Antoniego Markowskiego, Marjana Malskiego, Romana Laskowskiego i Marjana Kosińskiego. Wogóle zewnętrzna strona książki, odbitej w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, przedstawia się pod względem graficznym nadzwyczaj artystycznie. Ilustracje nie wszystkie między sobą są równe swą artystyczną wartością. Lecz sporo jest oryginalnych i pięknych. Autor, towarzysz Wyspiańskiego z czasów krakowskiej cyganerji, posiada poetyczną fantazję w sferze rozbujałego erotyzmu i zmysłowości. Włada doskonałą formą wiersza. Ma żywe poczucie plastyki i muzykalności. Zmysł groteski nadaje jego utworom frywolność, właściwą bulwarowym piosenkom francuskim, obcą moralności. Lewandowski wydał pierwszy tomik poezyj w roku 1893, następnych pięć tomików do roku 1900, poczem fragmenty dramatu „Szkoła miłości“ ogłosił w redagowanem przez Przybyszewskiego „Życiu“ i redagowanej przez Miriama Przesmyskiego „Chimerze“. Poza tem ma w swym dorobku literackim kilka dramatów, sztukę dla dzieci, a nawet filozoficzną, fejletonową rozprawkę „Na szalach szczęścia i niedoli“. W ciągu lat pracy pisarskiej nie zmienił się. „Korale Łady“ cechuje dbałość o czystość słownictwa i staranność w wycyzelowaniu formy. Księgi poematu manifestują erotykę, a często drastyczność tematów, „Pokusy pacholęcia“, „Swawole młodzieniaszka“, „Bakchanalje“, i dotrzymują im pola bogactwem pomysłów, sowizdrzalskim humorem i łatwością gładkiego wierszowania. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niedawno ukazała się książka bogato ilustrowana, opisująca i charakteryzująca różne kościoły i wogóle wszelkie miejsca święte we Włoszech. p. t. *„I Santuari d'Italia“*. Przedmowa, napisana przez Carlo Cecchelli, jest jednocześnie ciekawą syntezą tego wszystkiego, co było powiedziane o kościołach, cmentarzach i innych miejscach świętych w Piśmie św., oraz w dziełach Ojców Kościoła i Pisarzy kościelnych. Opisy, zawarte w książce, mogą się przydać nietylko osobom pobożnym lub turystom, lecz również archeologom, historykom sztuki, budowniczym i artystom. (F. B.)

*

G. A. Borgese, wybitny pisarz włoski, świetny krytyk i poważny filozof-esteta, ogłosił drukiem nową książkę pod tytułem *„Tempesta nel Nulla"* (Burza w nicości). Książka ta jest dalszym etapem wśród poszukiwania i torowania nowych dróg literaturze. Znajdują się tu najpiękniejsze karty jego twórczości literackiej, pełne poezji, nie zwykłego uroku i zadziwiającej plastyki sty u. (F. B.)

*

Pisarz baskijski Francisco de Ulacia w najnowszej swej książce *„Moros y cristianos"* daje piękny obraz Maroku hiszpańskiego w formie utworu literackiego, pełnego werwy i porywającego. Aczkolwiek wyobraźnia często unosi autora, mimo to opisy typów i zwyczajów marokańskich oddane są z zadziwiającą wiernością. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OBECNA wystawa w Instytucie Prop. Sztuki należy do najbardziej żywych i zajmujących. Skala jest dosyć rozległa: od Krzyżanowskiego (dziesięciolecie zgonu) do Loży Wolnomalarskiej. Osobną salę zajmuje grafika „Rytu". Ponieważ sam jestem grafikiem, mogę o pracach kolegów napisać wcześniej, niż o innych, jako o bardziej mi znanych. A więc zaczynajmy.

Prof. Bartłomiejczyk ma na wystawie kilka prac pierwszorzędnych. Zwłaszcza drzeworyt barwny „Tratwy", zwięzłością ujęcia i lapidarnością zestawień kolorystycznych bije grafiki Konerskiej, przy całej swej świetności, nie pozbawione minoderji kobiecej. Druga barwna rycina „Narciarze" została nagrodzona na konkursie graficznym sportowym.

St. Chrostowski zrobił b. duży postęp, technika, ze starannej stała się pomysłową. W swych poszukiwaniach technicznych Chrostowski oparł się na zdobyczach współczesnej grafiki rosyjskiej, przyczem na podkreślenie zasługuje fakt, iż studjując ją, nie uległ bezkrytycznie jej wpływom, umiejąc zdobyte wiadomości zużytkować dla celów własnych. Cechowała go zawsze duża graficzność kreski drzeworytniczej, teraz znacznie różnorodniejszej i wspartej o bogactwo światłocienia, dość typowego dla ksylografji „Rytu". Natomiast technice nie dorównuje ujęcie tematu, nieco jeszcze milusio-widoczkowe. Artysta powinien nad tem popracować.

Tadeusz Cieślewski syn wystąpił z pokaźną kolekcją prac. Możnaby je podzielić zgrubsza na 3 rodzaje. Pierwszy—to fantazje architektoniczne, najudatniejsze mojem zdaniem i najpiękniej charakteryzujące rodzaj twórczości i upodobań artysty np. drzeworyt „Z Remarka"; tu dochodzą kompozycje o charakterze wizyjno-symbolicznym. Drugi typ stanowią prace pokrewne w ujęciu dawnym frontispisom alegorycznym — tak popularnym dla 17-tego i pierwszej połowy 18-tego wieku — np.: „Mikołaj Kopernik", *„Polonia Rediviva"*. Na trzeciem miejscu stawiam (z małymi wyjątkami) ryciny odtwarzające dawną architekturę, bez żadnych pretensyj kompozycyjnych (jakby rodzaj studjum). Zarzutem, jakiby można postawić artyście, jest pewna pobieżność w opracowaniu wielu grafik, którąby niewątpliwie znikła, gdyby ksylograf przełożył jakość nad ilość.

Marja Dunin reprezentuje w „Rycie" drzeworyt szeroko cięty, o dużych masach czarnych i białych. Wartość jej prac zależna jest, w tym wypadku, od ich lapidarności, to jest od trafnego wyboru niewielu plam, najlepiej wyrażających to co artystka chciała powiedzieć.

Bogna Krasnodębska-Gardowska, tym razem, pokazała 5 drzeworytów jednobarwnych (czarnych). Graficzka, posiadająca w swoim dorobku szereg najpiękniejszych drzeworytów barwnych, nauczyła się myśleć kategorjami tego właśnie rodzaju ryciny. Drzeworyt barwny płaszczyzny różniczkuje zapomocą koloru i waloru, czarny — zapomocą cięcia. Artystka wiedziała oczywiście, skąd jej grozi niebezpieczeństwo przy zmianie techniki i uzbroiła się w zbyt duży arsenał środków zaradczych. Z tego właśnie wynikła przesadna gorliwość cięcia deski i w rezultacie mamy nazbyt jednolitą szarość na wszystkich planach. Natomiast dużą zaletą jest nerw graficzny, który posiada każda kreska drzeworytniczki.

Ludwik Gardowski wystawił jedną rycinę. Dziękujemy za już i prosimy o jeszcze.

Goryńska z kotków przeszła na pieski. Zamiast realistycznego studjum, artystka usiłuje dać interpretacje zwierzęcia, co jest niewątpliwym postępem, pocóż jednak interpretacja aż tak egzotyczna?

J. Konerska ma dwie ryciny, o temacie sportowym obie nagrodzone na konkursie. W porównaniu z Krasnodębską - Gardowską, Konerska jest bardziej malarską, pomijając oczywiście zupełnie inne nastawienie uczuciowe. K. posiada znakomicie rozwiniętą zdolność eksploatowania swego talentu. Z dwuch jej drzeworytów barwnych, wysokiej klasy pod względem pomysłu i wykonania, lepiej atmosferę sportu oddają „Narciarze".

Stefan Mrożewski ciągle kroczy naprzód. Jego technika ma w sobie coś wizyjnego i dlatego, przy swem bogactwie, nie razi kokieterją wirtuozerji. Używając prawie wyłącznie rylca wielokrotnego, nigdy nie wpada w jednostajność; czaruje nas olśniewającą kaskadą pomysłów coraz to innego rozcięcia płaszczyzny. Nikogo nie naśladuje, nie zgubił siebie w ogromnym Paryżu i zachował wobec świata, przy ujmowaniu jego zjawisk, odwagę dziecka.

Perkowski, członek „Rytu" przebywający stale na Żmudzi, zdala od zgiełku miasta, przysłał kilka rycinek, któremi opowiada cicho, prosto, niewyszukanie o sprawach życia i śmierci („Życie", „Ostatnia wędrówka", „Raj"). Ich bezpośredniość i szczerość ujmuje jak dawniej, pozatem są one słabsze od poprzednich.

Podoski. Trudno pisać o sobie. Obowiązek sprawozdawcy pozwala mi jednak na udzielenie paru informacyj. Pracę „Piłka Nożna" traktowałem jako zadanie „na ruch"; w „Boksie" chodziło mi o wyraz. Trzecia rycinka jest próbą drzeworytu konturowego (a więc dość białego) z lekkiem podcieniowaniem.

Twórczość prof. Skoczylasa jest wszystkim dostatecznie znana. Wystawione ryciny pomnażają ją ilościowo.

Członkiem „Rytu" został Konrad Śrzednicki, bardzo malarski w swych pierwszorzędnych technicznie litografjach. Postawa artystyczna grafika daje się streścić w słowach: „Mówcie sobie co chcecie, a ja taki będę robił po swojemu". Bardzo to cenne i w najdosłowniejszem znaczeniu rzadkie dzisiaj, chodzi jednak o to, jaka jest ta własna wizja. Mnie osobiście nie razi jej zbytnie poufalenie się z na-

turą. Tylko trzeba być wybredniejszym w posługiwaniu się tem, co ona daje.

W. Wąsowicz stara się uporczywie zapomnieć o tem, że jest Wąsowiczem, to znaczy utalentowanym artystą, który ma prawo i obowiązek mówić przedewszystkiem o sobie.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„BANK NEMO" L. VERNEUIL'A

TRZYAKTOWA komedja okazała się bronią w rękach teatru zbyt krótką do walki z kinem. L. Verneuil, którego komedję „Bank Nemo" wystawił teraz teatr Letni, zastosował już ośm odsłon. Publiczność chce mieć za swoje pieniądze wieczór dobrze wypełniony.

Historja, pokazana na scenie przez francuskiego autora, przypomina poczytną powieść warszawską Mostowicza „Karjerę Nikodema Dyzmy". Bandyta robi bajeczną karjerę. W pierwszej odsłonie mamy przed sobą młodzieńca Lebrache'a sprzedającego gazety, oberwanego apasza. Chłopiec bardzo wesoły i zdolny: dwa razy sprzedaje w restauracji ten sam egzemplarz, a wychodząc porywa z wieszadła cudzą marynarkę.

Bardzo zdolny. W tej marynarce dostał się do banku p. Nemo na woźnego, potem jest kasjerem, potem zastępcą dyrektora, wreszcie, wysadziwszy właściciela, sam zostaje dyrektorem. Krocząc tak po linie między wielkością a kryminałem, osiąga szczyty społeczne i posługuje się ministrami, klepie po ramieniu prezydenta. Rzecz się dzieje „współcześnie w Europie" — tak objaśnia autor na afiszu.

Publiczność warszawska patrzy na ten obrazek obyczajowy, niczemu się nie dziwiąc. Z tego widać, że należymy do Europy... Według Mostowicza nawet poszliśmy dalej. Przodujemy.

O ile pamiętam, padło gdzieś na scenie słówko: „bandyta", ale jakoś niewiarogodnie, bo ten, co z Lebrechem usiłował walczyć, wyglądał w tych stosunkach na warjata i sam dostał się do więzienia. Ha, ha, ha! — Śmiał się, idąc za kratę.

Dawniej wystawiano melodramaty w rodzaju „30 lat szulera", żeby tępić wady charakteru, teraz komedja ujmuje się za społeczeństwem, w które grają, jak w kości, szulerzy z niewiarogodnego zdarzenia z niewarogodnem szczęściem.

Verneuil nie darmo cieszy się opinją dobrego majstra. Warto się przyjrzeć tej robocie komedjopisarskiej.

Główną rolę grał p. Jerzy Leszczyński, dyrektora Nemo — p. Fertner, kasjera — Kurnakiewicz. Poza tem dwie panie: p. Gorczyńska i p. Rotterowa. To wystarczy, starczy za wszelkie pochwały. Ponadto wiele inny ról pomniejszych.

Wieczór bardzo interesujący.

Z. W.

ZMARLI

Ś. P. KS. BISKUP ŁOZIŃSKI

DNIA 26 b. m. zmarł biskup djecezji pińskiej, J. E. ks. Zygmunt Łoziński. Obszerniejsze wspomnienie zamieścimy w numerze najbliższym.

Ś. P. WANDA DALECKA

W SŁONIMIE zmarła ś. p. Wanda z Czarnowskich Dalecka, zasłużona działaczka na polu pedagogicznem. Urodziła się w Wilnie 1862 r. Ojciec jej Jan Czarnowski, profesor gimnazjum, zacny pedagog-patrjota po powstaniu wywieziony został wgłąb Rosji, gdzie zmarł, zdala od swoich. Ś. p. Wanda Dalecka w młodym wieku rozpoczęła pracę pedagogiczną, początkowo prywatnie, następnie w szkole p. Józefy Czarnowskiej w Mińsku Litewskim. Był to konspiracyjny polski zakład naukowy. W ciągu lat kilku był on głównem ogniskiem kultury polskiej w Mińszczyźnie. Szkoła polska, w podobnych warunkach, długo istnieć nie mogła. W ostatnich latach ubiegłego wieku siostry Czarnowskie przeniosły się do Lwowa. Józefa Czarnowska założyła tam gimnazjum prywatne, a ś. p. Wanda Dalecka pracowała wraz z siostrą jako nauczycielka i kierowniczka administracji, a jednocześnie działała w kołach rzemieślniczych, niosąc oświatę.

Ś. p. Wanda Dalecka w tym czasie ogłosiła szereg prac, jak: „Pyłki i Okruchy" (nowele), „Refleksy" (ulotki), wykłady o Krasińskim, Ujejskim i Kościuszce, przekłady francuskich pism Krasińskiego, umieszczone w zbiorowem wydaniu pism poety. Nowele „Abraham" i „Pieśń ojczysta" drukowane były po wojnie w odcinku „Gazety Warszawskiej". Ś. p. Dalecka pisała również dla sceny, a dramat jej „Las" był zaszczytnie wyróżniony na konkursie we Lwowie. Mniejsze obrazki sceniczne dla młodzieży: „W starym domu" (na tle wypadków r. 63), „Pan minister przyjeżdża", „Pięć i szósty" cieszyły się powodzeniem w teatrach szkolnych. Napisane w r. 1930 „Jasełka" mają niebawem ukazać się w druku.

Podczas wojny światowej ś. p. Dalecka przebywała w Rosji, lecz i tam zajmowała się gorliwie pracą oświatową, niosąc pomoc moralną rodakom. Podczas okupacji niemieckiej, zorganizowała polskie seminarjum nauczycielskie w Mińsku Litewskim i prowadziła je aż do roku 1918, t. j. do najścia bolszewików. Po likwidacji seminarjum pracowała jako nauczycielka w szkołach powszechnych Sióstr Niepokalanek w Słonimiu. Znalazła tam opiekę i przyjaźń w siostrze Monice Sopodźkównie, zamiłowanej, równie jak ona, w literaturze i pięknie tłumaczącej poezje niemieckie, francuskie i jugosłowiańskie na wiersz polski.

Ś. p. Dalecka należała do rodu entuzjastek, które kładły tak wybitne piętno na kulturze polskiej zaboru rosyjskiego w XIX w. W tem, co pisała, wartością był nie tyle artyzm, ile uczuciowość romantyczna i wysoka skala ideału moralnego. W życiu osobistem ludziom całem sercem oddana, skarbiła sobie przyjaźń i szacunek. Zostawia po sobie pamięć czystego i dobrego ducha. Niech spoczywa w pokoju

Ś. P. ANTONI ŻWAN

ZMARŁ ś. p. Antoni Żwan, warszawianin, znany w sferach towarzyskich kraju i Paryża z gorliwego propagowania sprawy polskiej w stosunkach międzynarodowych. Gorący patrjota, żarliwy katolik uważał niejako za swą misję przestrzeganie interesów cywilizacji łacińskiej. Za fundament politycznego stanowiska Polski poczytywał solidarność interesów naszych z Francją. Przed wojną robił, co mógł, w zakresie swoich stosunków, zresztą bardzo rozległych, aby zagranicą wiedziano, do czego Polska dąży i czego się spodziewa od Francji. Pielęgnował skrzętnie stosunki towarzyskie, choć cokolwiek dające kontaktu politycznego. Dowodem wydana przez ś. p. Żwana przed kilku laty książka, poświęcona wspomnieniom z Riwjery, gdzie wiele materjału, doskonale charakteryzującego tę oryginalną i bardzo sympatyczną postać.

Pomimo podeszłego wieku do końca swych dni interesował się sprawami politycznemi i z młodzieńczą żywością gestu i słów na każdą wieść reagował. Wielką dla niego udręką była w ostatnich latach myśl, że stosunki Polski z Francją nie pozostają na należytej stopie, a widząc w tem wpływ sympatyj niemieckich w Polsce, poddawał się nieraz daleko idącemu pesymizmowi.

Ze śmiercią ś. p. Antoniego Żwana schodzi z naszej widowni jedna z najbardziej znamiennych postaci XIX wieku, postać Polski protestującej, płonącej oczekiwaniami i wiarą.

Cześć jego pamięci!

Ś. P. BOLESŁAW ERZEPKI

ZMARŁ w Poznaniu w 80 roku życia znany archeolog i filolog ś. p. Bolesław Erzepki, wielkopolanin, urodzony w pow. leszczyńskim w Pawłowicach 1852. Gimnazjum skończył w Lesznie, uniwersytet we Wrocławiu, doktoryzował się na podstawie rozprawy o kazaniach gnieźnieńskich (1885). Był konserwatorem muzeum Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, profesorem honorowym uniw. poznańskiego, członkiem Akademji Umiejętności od r. 1905.

Miłośnik zabytków literatury i gorliwy ich zbieracz, wiele ich publikował i komentował. W Poznaniu był przez długie życie punktem środkowym ogniska życia umysłowego. Ceniony za uczynność i zacność zostawia po sobie szanowne tradycje.

OFENSYWA

PERSPEKTYWY HORMONOLOGJI

BARDZO mało zajmują się tem u nas, a tymczasem ta cała nauka o hormonach zapowiada się bardzo ciekawie i otwiera przed ludzkością jakieś już najbajeczniejsze i najfantastyczniejsze perspektywy. Raz dla odmiany repertuarowej zajmiemy się tym tematem, po przeczytaniu kilku dorywczych i pobieżnych szkiców z tej dziedziny biologji i antropologji.

Garść wieści i wiadomości z laboratorjów, klinik i pracowni kilku uczonych, poświęcających się tym arcyciekawym badaniom, których rezultaty w drugiej połowie XX wieku niezwykle mocno wpłyną na kształtowanie się dalszego bytu ludzkości.

Przedewszystkiem notatka z pracowni biologów londyńskich: Badano tam zagadkę przebarwiania się skóry małego, dziwacznego zwierzątka. Kameleona. Sprowadzono ich kilka tysięcy. Teraz dłuższy czas robiono z kameleonami rozmaite specjalne doświadczenia. Okazało, się że kameleony chowane i zamykane w pudełkach, biało wyściełanych, po 30 godzinach bieleją; te same, zamykane w pudełkach czarnych, w godzin dziesięć czerniały jak węgiel. Otóż ten to eksperyment nie udawał się po wycięciu kameleonowi pewnych gruczołów podskórnych, *ergo* te właśnie gruczoły musiały wpływać na zdolności mimetyczne (mimikryzacyjne) kameleonów. Następne eksperymenty polegały na tem, że aplikowane ludziom zastrzyki podskórne substancji gruczołów mimetycznych z kameleonów pozwolą na odbarwianie skóry ludzkiej. Nie żadne żarty, ale czysta prawda. *Ergo*: w przyszłości będzie można przeprowadzać odbarwianie skóry u ludzi ras niebiałych, *coloured peoples*. W następstwie i w konsekwencji dalszej, tak żółci, jak czerwonoskórzy, jak murzyni, (110 miljonów) będą mogli poddawać się masowo zastrzykom z substancji gruczołów mimetycznych. Rasy kolorowe zbliżą się pod względem ubarwienia skóry do rasy białej. Oczywiście kameleonów na te cele wnet by zapewne zabrakło. Musi się tedy wytworzyć sztuczna hodowla kameleonów, fermy z kameleonami, wylęgarnie masowe kameleonów. Jest to muzyka dalekiej przyszłości, ale w „antycypacjach" tego, jak ludzkość będzie się rozwijała w wieku XX i XXI, przyszły Wells już te rezultaty dzświadczeń z gruczołami podskórnemi kameleonów uwzględnić będzie musiał.

Bardzo ciekawe są dalej rezultaty, jakie osiągnięto w badaniach t. zw. hormonów. U nas się ten dział odkryć jakoś bagatelizuje, a tymczasem to, co się o tem czyta, przedstawia się bardzo interesująco. Tutaj dużo przyczynił się do rozwoju tego działu wiedzy nasz rodak, dr. Kazimierz Funk. Mało u nas o nim się wie i mówi, gdyż prawdopodobnie nie pochodzi z wybranej rasy. Hormony są to, jak wiadomo, wydzieliny różnych narządów ustroju ludzkiego, tak we krwi jak i sokach tkankowych. Organizm ludzki produkuje konieczną dlań ilość tych wydzielin, hormonów. Hormony bywają pono męskie i żeńskie i nijakie (jeżeli chodzi o hormony seksualne). Dr. K. Funkowi odało się w jego laboratorjum biologicznem wyosobnić właśnie hormon męski, którego drobina zawiera 16 atomów węgla, 26 atomów wodoru, 2 atomy tlenu. Wydobycie i wyosobnienie hormonu męskiego jest tak trudne i kosztowne omal jak wydobycie... radu z t. zw. pechblendy. Potrzeba było pono 25 tysięcy litrów zdrowego moczu męskiego dla wydobycia minimalnej cząsteczki grama. Badania laboratoryjne dr. Funka przeprowadzają dalej prof. Beniamino (w Nowym Jorku), docent niemiecki dr. Butenandt i dr. Doppler. Podczas gdy wszystkie odkrycia dwóch hałaśliwych izraelitów, dr. Woronowa z Odesy i Steinacha z Wiednia, okazały się pospolitym i ordynarnym humbugiem, to już praktykowane w N. Jorku przez prof. Beniamino zastrzyki preparatu z hormonu M. wpływać mają na dosłowne odmłodzenie, ale oczywiście tylko w zakresie ograniczonym t. j. wzrostu wagi, wzrostu zdolności do pracy, wzrostu energji i samopoczucia, poprawy snu i t. p. Są atoli hypotezy, stawiane przez tych hormonologów, że zastrzyki tych preparatów z wydzielin hormonowych będą mogły wpływać i na wzrost ludzki, czyli że ten dział medycyny, rozwinięty w XX wieku, będzie regulował i decydował o fizycznym rozwoju osobnika ludzkiego. Niskich będzie można leczyć na wysokich, karłowatych na olbrzymów. *Se non e vero* oczywiście *e ben trovato*...

Najciekawsze atoli odkrycia są jeszcze z tej samej dziedziny, to jest także z badań nad gruczołami ludzkiemi. Jest to odkrycie t. zw. gruczołu strachu, względnie gruczołu odwagi.

Oczywiście rzecz się dzieje w Ameryce: laboratorjum prof. Charles Louis Mixa oraz eksperymenty dr. miss Adams. Uczony biolog odkrył gruczył nad nadnerczem ludzkiem, które normalnie produkują pewne wydzieliny wewnętrzne. Otóż wstrzymanie wydzielin gruczołu na nadnerczu wywołuje tak zwane uczucie strachu.Strach u człowieka ma być niczem innem, jak wstrzymaniem odpływu wydzielin gruczołu nadnercza do organizmu. Eksperymenty polegały na podwiązywaniu gruczoła na nadnerczu, co w osobniku ludzkim wywoływało natychmiastową reakcję t. j. uczucie strachu. Równocześnie atoli, ponieważ te wydzieliny gruczołu na nadnerczu wpływają na rozwój stanu psychicznego, będącego zaprzeczeniem poczucia lęku i strachu, wskutek tego logicznie wypływało, że injekcje *serum*, sporządzonego z tych wydzielin, sztucznie zaszczepia impulsy odwagi, zuchwałości i agresji. To też te eksperymenty zaryzykowała dr. miss Adams i to w pierwszem rzędzie na żabach, poczem na myszach, wreszcie na kogutach. Rezultaty miały okazać się wprost frapujące. Niemrawe żaby i tchórzliwe, płochliwe myszy nabierały niesłychanego wigoru i napastliwości, koguty zaś dochodziły w wojowniczości do obłędnego szału. Z doświadczeń tych okazało się więc, że stan zaczepności i wojowniczości jest u wszelkiej kreatury stanem normalnym, natomiast stany pasywności, depresji, pokojowości, nieagresji zaliczają się do stanów chorobowych, spowodowanych zatrzymaniem wypływu wydzielin gruczołów na nadnerczu. Injekcje takie z czasem będzie można stosować i... dla ludzi. Biernych i apatycznych będzie się leczyło na aktywnych, dzielnych, dziarskich, zaczepnych, a sfandulskich, nieudaczników, pionków, lizusów i wprost tchórzów będzie się pewnemi zabiegami (injekcjami) przekształcało na ryzykantów, hazarderów, ekspansjonistów.

Jeżeli w tej dziedzinie dojdzie się wnet do pozytywnych rezultatów, będzie można psychicznie przerabiać nie tylko jednostki ale grupy, ale *collectio*, całe stronnictwa, całe zespoły. Partje, które naprzykład uprawiają opozycję li tylko myślą, mową, pismem i drukiem, po masowych injekcjach (wydzielin z gruczołu nadnercza) przejdą zaraz do „grzeszenia uczynkami", do akcji czynnej, do działania...

Jak tedy z tego widzimy, na postępy i rozwój hormonologji oraz na naukę o gruczołach powinno się baczną zwracać uwagę i ze stanowiska polskiej publicystyki „umiarkowanej". Bądź co bądź, to jest też jedna z nauk i wiedz o wielkiej przyszłości...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Kurjer Wileński" (nr. 71) robi wymówki publiczności, że nie uczęszcza na sztukę reprezentacyjną „*Virtuti Militari*" Czyżowskiego. Widzieliśmy ją w Warszawie. Okropna pod względem literackim i scenicznym. Przytaczamy urywki tej skargi, jako wzór chorobliwej frazelogji pism sanacyjnych:

> „Wielka to niesprawiedliwość dla poety, za jego natchnienie i serce, które nam rzuca ze sceny, gdy razem z nami szuka dróg do nowego jutra. Chyba że zagadnienie to jest o tyle ważkie, że nietylko „delegacje", ale tłumy publiczności, wojsko, szkoły, organizacje, winny się znaleźć w sali teatru na Pohulance, by tam poddać się wrażeniu sztuki, by wsłuchać się w rytm kroków, przewijających się przez całą sztukę, idących walczyć, budować — w przyszłość; a nad niemi dominujący rytm kroków kogoś — zadumanego, na którego barkach spoczywa zrąb pracy dla przyszłości".

„Rzuca serce" w publiczność, której niema, kroki „przewijają się", aby walczyć i budować (!), „zrąb pracy"... wrażenie kroków rozwiązuje „ważkie zagadnienia nowego jutra"... Czyż w atmosferze takich pustych frazesów może powstać talent dramatyczny? Czy te kroki raczej nie oddalają się?

•

Z monologów wesołego twórcy:

Pan się pyta, co to jest inflacja kredytowa? Masz pan przykład. Gdyby nie było kredytu, nie byłbym teraz winien za szampana takich sum. Kredyt dzisiejszy jest, jak dawna staropolska gościnność — prowadzi do ruiny. Trzeba z tem walczyć. Boć to proste, że gdybym takie pieniądze miał, to nie wydałbym ich na wino, a nadewszystko nie potrzebowałbym „współpracować". Z drugiej jednak strony, gdybym nie „współpracował", nie miałbym kredytu... W życiu wszystko się wiąże kołem. Właściwie nikt nie jest winien, że jest winien, raczej ten winien, co nie jest winien.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.